Nr. 14 (1110). Warszawa, dnia 23 Marca (5 Kwietnia) 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Koloman Tisza.

O zmarłym d. 23 z. m. Kolomanie Tiszy, byłym kierowniku polityki węgierskiej, dzienniki wiedeńskie przeważnie wspominały tylko z namaszczeniem — i nie bez przyczyny. Tisza przez lat piętnaście (1875—90) ubocznie popierał Niemców w Przedlitawii, a bezpośrednio już uciemiężał lud słowiański, Słowaków, na Węgrzech. Z resztek Deakowskich i z wyłamujących się już z pod władzy wielkiego patryoty niezadowolonych wytworzył on w r. 1875 stronnictwo, które nazwało się liberalnem, tak jak liberalnymi byli w r. 1875—87 narodowcy pruscy, z takiem samem na szyldzie wymalowanem godłem. Kalwinizm zacięty dopomógł Tiszy do uświeccenia stosunków wyznaniowych w zakresie stanu cywilnego wyznawców. Tak zw. „Wegtäufungen," głośne na świat cały, ujawniły nie tyle ducha nowożytnego porządku, ile fanatyzm kalwiński, pragnący odzyskać straty poniesione wczoraj i uchronić się od nich na jutro.

Na jego rządy przypadła ta burza radykalizmu narodowego, która zagroziła zwaleniem roztropnej i prawdziwie patryotycznej budowy Deaka. Cały „Rok 1848" i cały „Rok 1849" w zasadach swoich przewodnich odżyły i natarły na Habsburgów i Austryę. Tisza nie umiał, nie chciał odrazu ująć namiętności w łożysko idei deakowskiej wspólnego interesu i wspólnego też obowiązku istnienia w dualizmie, po za którym czeka Węgry tylko bezrząd i po międzynarodowych zawieruchach śmierć polityczna; pozwolił swemu stronnictwu pohulać — wespół z Franc. Kossuthem, z Ugronem, z Aponyim wreszcie, gdy i ten na słynnem „und" wielkości swej dorabiać się zapragnął. Idea wielkowęgierska miała zagorzalców wynagrodzić za utrzymanie ugody deakowskiej z r. 1867—9, miała i stronnictwo liberalne utrzymać w karności: dzieci słowackie chłonęła spokojnie paszcza węgierskiego Melkarta.

Nie był Tisza mężem stanu z wyższym poglądem, zdolnym przy załatwianiu spraw teraźniejszości liczyć się zawsze z przyszłością. Położenie bardzo trudne pierwszego ministra węgierskiego wymaga też nader podniosłej siły; tej nieboszczyk nie miał, ale za to miał jeden, bodaj czy nie najważniejszy przymiot polityka czynnego: odwagę umysłu. Wspierały ją i dodatnio warunkowały zdolności istotnie wybitne, a przeważnie praktyczne. Ta sztuka prowadzenia ludzi za sobą, bez której nic byłoby innej: sztuki wytwarzania faktów historycznych, miała w Tiszy przedstawiciela wzbijającego się nad poziom miernot poustawianych u rozmaitych liberalnych i wstecznych, demokratycznych i arystokratycznych, republikańskich i nierepublikańskich sterów. W danej pozycyi, na jaką go bądź *logika faktów*, właściwie logika namiętności zbiorowej, bądź przypadek zapędził, umiał pierwszy minister rozglądać się szybko, obwarowywać mocno, bronić energicznie a rozważnie.

Nigdy przytem nie zapominał i o utrzymaniu się przy władzy: było to dla niego pierwsze prawo obowiązujące jego kunszt rządowy w czynie, w ogniu walk z Wiedniem lub z własną opozycyą w sejmie. Wytrwałość jego rządów wzmacniała z każdym rokiem jego stanowisko i tak w samym systemacie dualistycznym jak we własnym kraju, jak wreszcie w opinii Europy podnosiła wciąż jego powagę. Nie zdarzyło się to nigdy za jego sterowania, aby wspólne sprawy całej monarchii wskutek oporu Węgrów utknęły w jakiemś „nie pozwalam." Spór o kwotę wydatków wspólnych nie zaognił się nigdy w walkę; układ z r. 1867 wytykał granice, których Tisza ani sam nie przekraczał, ani nie pozwalał przekroczyć stronnictwu, na którem się oparł i które do pamiętnej kampanii sejmowej o t. zw. „Wehrgesetz" całej monarchii — prawo o armii wspólnej—„swojem" mógł nazwać. Dopomagała mu w tem równowaga ekwilibrystycznie podtrzymywana przez Taaffego w Przedlitawii. Faktyczna przemoc Niemców przy ustawicznem zażegnywaniu na powierzchni życia czynnego walk narodowych, wrzących w głębi dusz — była tym pożądanym dla Tiszy stanem zobojętnienia, w którym Węgry mogły dla siebie znajdować zadowolenie i sytość.

Bismarckowski środek ciężkości w Peszcie wskazany monarchii habsburskiej zaraz po jej pogromie w r. 1866, zwolna rzeczywistością się stawał. Ten sam Bismarck, który w spostrzeżeniu i wskazaniu swojem z Węgier czynił przednią część składową dwoistej całości, w r. 1878 na kongresie berlińskim wyjednał im dobrodziejstwo terrytoryalnego przyrostu pod postacią Bośni i Hercogowiny wraz z prawem zajęciem Sandżaku nowo-bazarskiego. Węgry jako obywatele wspólnej całości, nie byli na to dobrodziejstwo łakomymi. Chętnie by przecież wzięli tysiąc z górą mil kwadratowych, gdyby wziąć mogli dla samych siebie; ale temu sprzeciwiała się istota międzynarodowego stosunku, wprowadzonego do traktatu jedynie tylko jako *okupacya*. W tym charakterze Bośnia wydawała się Węgrom raczej „darem Danaów," i wydawała się słusznie; gdyby zaś ta obawa płonną okazać się kiedyś miała, mieli zaraz inną: aby rozległa kraina za Sawą nie dostała się Przedlitawczykom. Ze stano-

wiska samego tylko posiadania, przedłużanego z roku na rok przez sam czas i grozę wojny, niezbędnej do wydarcia posesyi, Bośnia była i dziś jest zdobyczą monarchii i tę zdobycz właśnie umiał Tisza w latach 1878—9 usprawiedliwić, obronić i utrzymać wobec wzburzonego sejmu.

Obok obrony owego prawa o armii, to przepchnięcie Bośni przez sejm węgierski będzie najwybitniejszym, najlepiej o zdolnościach politycznych Tiszy świadczącym czynem jego piętnastoletnich rządów. Jako czyn trzeci, jedną miarę z tamtemi dwoma trzymający, staje, w myśl owego orzeczenia Bismarcka, ustalenie w Peszcie jakby ogniska kontroli państwowej nad zagraniczną polityką austryacką. Sam on nieraz, nie czekając na delegacye, zabierał głos uspakajający w sprawach dyplomatycznych, które z pod jego steru się uchylały. Wzmacniało to urok potęgi węgierskiej, zaspakajało miłość własną Węgrów i samemu Tiszy dodawało mocy i siły. Gdy umierał, w Przedlitawii panował zamęt, powołujący i węgierski rozum stanu do czujności i czynu. Inni już po nim łamać sobie będą głowy nad rozwiązaniem srogiego zagadnienia: w jakim stopniu prawem i obowiązkiem Węgrów dla zachowania własnego bytu jest wywołanie w Przedlitawii takiej organizacyi, któraby niebezpieczeństwo niemieckie od monarchii, a więc i od Węgier, raz na zawsze odwróciła?

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POMOC WZAJEMNA KOBIET.

Z łona Delegacyi pracy kobiet ma powstać nowa instytucya: „Towarzystwo wzajemnej pomocy kobiet pracujących zawodowo.“ Ustawa, opracowana w zarysie, zakreśla następujące zadania i cele: ułatwienie zdobywania pracy, pomaganie w doskonaleniu się fachowem, zbliżanie się wzajemne, współdziałanie w rozwoju pracy zawodowej i jej zastosowaniu; stworzenie biura stręczenia pracy, pośrednictwo w umieszczaniu oszczędności, organizacya kredytu i ułatwienie korzystania z niego, stworzenie biblioteki, czytelni, pomocy lekarskiej, porady prawnej itd.

Korzystając z zaproszenia inicyatorek (pp. H. Reinschmidt-Kuczalskiej i J. Bojanowskiej), wysłuchałem uważnie odczytanej ustawy, jak również rozpraw na posiedzeniu specyalnem, w którem wzięło udział kilkanaście kobiet. Celem dyskusyi była wszechstronna ocena potrzeby takiej organizacyi społecznej i dorzucenie uwag, które miały być pewnego rodzaju gliną do cegiełek przyszłego gmachu. Ustawa zrodziła prawdziwe zakłopotanie, dla kogo właściwie ma służyć ta instytucya. Według zapewnienia p. Reinschmidt-Kuczalskiej, nie wchodzi ona w drogę innym, lecz nawet uzupełnia je i rozwija, jako odłam zrzeszonej pracy kobiecej. Z określenia kwalifikacyi i sfer przyszłych członków, do Towarzystwa tego będą miały wstęp kobiety, których praca fachowa oparta jest na umysłowej. Określenie dosyć mgliste, z którego zarówno inicyatorki, jak i uczestniczki rozpraw wybrnąć nie mogły. Chodzi tu właśnie o dopuszczenie kobiet, stojących na pewnym poziomie umysłowym; zadanie jednak bardzo trudne, bo we wszystkich zawodach pracy kobiecej są różne szczeble inteligencyi i przygotowania umysłowego. Jedna pracownica z magazynu bławatnego może nie przerastać w tej mierze ceglarki, gdy druga posiada census inteligencyi, pozwalający nawet brać udział w sporach salonowych o Przybyszewskiego lub Wyspiańskiego. Kandydatki więc do nowego Towarzystwa będą chyba musiały przechodzić ścisły egzamin lub podlegać bardzo skrupulatnemu balotowaniu.

Uczestniczki obrad i inicyatorki nowej instytucyi miały jeszcze inny kłopot: Czy do zarządu można obok członków rzeczywistych, tj. pracownic samodzielnych, powoływać członków zwyczajnych, tj. kobiety, które mają byt zapewniony przez mężów i są od nich zależne? Pewna grupa była przeciwna dopuszczeniu tej drugiej kategoryi, ze względu właśnie na to, że zależne od warunków domowych, nie będą mogły spełniać należycie swych obowiązków. Popierwsze dlatego, że mając byt zabezpieczony, nie odczuwają żywo potrzeb pracownic samodzielnych, powtóre, że niesłowność i niesumienność członków zarządu może zależeć od kaprysów lub złego humoru panów małżonków. Niektóre z obecnych na zebraniu już nawet poparły te przewidywania przykładami. Oto jedna pani nie mogła przyjść na posiedzenie, bo mąż zabronił; a jakież to byłoby położenie instytucyi! Mąż zgłodniały, zmęczony lub skłopotany, dziecko chore w domu — to są przyczyny, które mogłyby grozić podstawom instytucyi, wstrzymywać jej rozwój i pracę! Przezorne panie oponowały więc przeciwko dopuszczeniu kobiet tej kategoryi do zarządu i ostatecznie zgodziły się na ich udział w mniejszej liczbie.

Na początku już tedy, przed zawiązaniem Towarzystwa, są twarde orzechy do zgryzienia. Można byłoby znaleźć jeszcze wiele innych — u podstaw instytucyi. Czy sam sposób, czy cele jej organizowania, dają rękojmię urzeczywistnienia, a następnie trwałości takiej instytucyi? Czy ma ona racyę bytu ze względu, że istnieje już inna, pokrewna? Nowe Towarzystwo ma być czemś rożnem od Kasy samopomocy i przezorności dla osób pracujących *fizycznie*. Tymczasem z porównania celów i zadań widzimy, że te w instytucyi już powołanej do życia prawie niczem się nie różnią od programu projektowanej. Tak np. Kasa umieszcza: ekspedyentki z różnych fachów, kasyerki, buchhalterki, korespondentki z *kilkoma* językami, piszące na maszynach, poszukujące języka francuskiego z patentami, osoby *do towarzystwa*, pielęgnowania chorych, matkowania dorastającym pannom itd. Kasa ta posiada zorganizowaną pomoc lekarską, tworzy wydział pośrednictwa w sprzedaży wyrobów uczestniczek itd. A więc, jak widzimy, nie jest to instytucya wyłącznie dla pracujących *fizycznie*, lecz i dla tych sfer i kategoryj kobiet, które mają być uczestniczkami Towarzystwa wzajemnej pomocy kobiet pracujących „zawodowo.“

W zestawieniu tych faktów widzimy znamienny objaw rozpraszania sił, środków i energii. Zamiast je połączyć wspólnymi zabiegami i zasobami, stworzyć jedną mocną i trwałą organizacyę, kobiety nasze podzieliły się na dwie grupy i chcą otrzymać dwa pokrewne lecz osobne ogniska. Jest to rys szczególny nietylko kobiet naszych, lecz całego społeczeństwa. Przed paru laty nie przyszło do skutku Towarzystwo rybackie, dlatego, że zainteresowani podzie-

---

14)

M. Grossek.

SERCE.

W świetle księżyca, w szafirowych miłosiernych oczach zamigotały wielkie łzy.

Ręka kobiety odszukała w ciemności wychudłą, spotniałą rękę chorego i splótłszy się z nią palcami pozostała tak w uścisku...

— Pani ma do mnie wstręt — niech pani nie udaje! -dręczył ją, pieszczotą nieprzebłagany, rad, że jej dokucza, rad zwłaszcza wydobyć z niej jak najwięcej zaprzeczeń, w które wsłuchiwał się chciwie, bo pragnął co najrychlej uwierzyć w ich szczerość.

— Ale mnie pani nie kocha—nacierał.

— Owszem... kocham cię! — odrzekła.

Czuła doskonale, że popełnia kłamstwo, polegające na zmieszaniu dwóch różnych pojęć pod jednem nazwiskiem... i zaczerwieniwszy się, dodała ostrzeżenie:

— Po swojemu... tak, jak ja umiem...

Zbyteczne zastrzeżenie, które on już puścił mimo uszu.

W jego umyśle powstała jeszcze jedna ostatnia wątpliwość: „jak ona kocha“? Lecz bał się posuwać analizę, aż do rozdarcia tej ostatniej zasłony, z po za której prawda mogła się ukazać zbyt bolesna, jak to wiedział z poprzedniego doświadczenia. Wolał już nie być na teraz tak ciekawym! Poprzestał na tem dwuznacznem wyznaniu, które dawało szczęście, choćby za cenę samooszustwa... Młode serce pragnęło nadewszystko żyć i radować się! więc uwierzyło skwapliwie w to, co dlań było przyjemnem. W jednej chwili powrócił do pierwotnego przeświadczenia, że Serafina kryła się z miłością przez uczciwość. Aż jego choroba wytrącona z równowagi przyszła oto, aby mu się pochylić w objęcia!.. Błogosławiony obłęd!... szał dobroczynny!.. Rekonwalescent w mgnieniu oka stał się człowiekiem zdrowym — wstał tak lekko, jakby mu wróciły wszystkie siły, całą figurą pochylił się ku niej nad oknem i śmiało już drugą rękę położył na jej kolanach.

Noc zapadała... Serafina siedziała, jak na mękach... oczy jej biegały szybko, szukając w ciemnościach kogoś, czegoś, coby jej przyszło na ratunek i przerwało to okropne sam na sam. Myśl jej pracowała nad wynalezieniem jakiejś dobrej wymówki, zręcznego pretekstu, którybyjej pozwolił odejść bez obrażenia nerwów tego zbolałego człowieka!

— Zdaje mi się — rzekła wreszcie nieśmiało, unosząc się zlekka na siedzeniu — że słyszę głos Broni...

— Nie kłam pani — krzyknął na nią groźnie.— Pani nic nie słyszysz... Pani chcesz tylko uciec odemnie... Oh! jak mi jest źle!... nie porzucaj mię, bo zginę!... Oh! jak mię okropnie głowa boli!.. jak mi ją ściska żelazna, paląca obręcz!

Serafinie opadły ręce i głowa na piersi, zimny pot uperlił jej czoło...

Teraz ramię jego wpół ją objęło.. I zanim się spostrzegła... zanim się obejrzała, co się z nią dzieje... już była wciągnięta do wnętrza pokoju, a okno zamknęło się za nią z trzaskiem... I tam wśród nocy i ciszy głębokiej, bez krzyku, skargi i oporu z jej strony dokonała się nad nią rzecz okropna.

. . . .

XV.

Przy drzwiach zamkniętych stała pociemku pani Różyńska i słuchała... Nie dowierzała własnym uszom—nie mogła uwierzyć! Tak głęboko przekonana była o uczciwości Serafiny! Gdy nareszcie wątpić było już niepodobna, postać pani Różyńskiej, jej oczy, usta, gest ręki stały się klasycznym wyrazem pogardy. Bądź co bądź, ta Serafina była już kobietą „upadłą,“ a dla

liły się na dwie grupy, pod wpływem nieporozumień i dążeń osobistych i usiłowali stworzyć dwa odrębne towarzystwa. W sekcyi rzemieślniczej trwa już drugi rok zabójcza secesya. Dzieje się to samo w wielu innych dziedzinach. Obecnie takiż objaw niepożądany spostrzegamy śród kobiet naszych. Jest on groźniejszy jeszcze z tego względu, iż rzesze niewieście u nas nie mają hartu społecznego, niezbędnego do wyrobienia zdolności organizacyjnych. Już samo opieranie podstaw instytucyi społeczno-ekonomicznej na filantropii wytwarza pochyłość, po której mozolne owoce zabiegów i usiłowań stoczą się w przepaść. Bardzo się boimy, ażeby pięknie zaprojektowana instytucya, w najlepszym razie wegetując przez pewien czas, nie stała się tylko klubem towarzyskim, w którym panie będą prowadziły spory i wylewały żale na nieznośnych i despotycznych mężów.

Pomimo jednak tych czarnych zapatrywań podkreślamy, bądź co bądź, doniosły objaw ruchu społecznego kobiet naszych, życząc zarazem, ażeby dążyły do jak największego połączenia swych sił i do stworzenia mocnej, jednolitej organizacyi.

Zen. Piet.

Z NAD WARTY I ODRY.

Rola „Kół“ polskich, tak w parlamencie rzeszy niemieckiej, jak w sejmie pruskim, należy do najbardziej palących zagadnień polskiego życia publicznego w dzielnicach pruskich. Rola ta jest istotnie bardzo dziwna. Posłowie polscy w Berlinie żądają, ażeby ich uważano za przedstawicieli prawowitych całego narodu, ażeby przyklaskiwano każdemu ich krokowi, nie ważąc się odezwać ze słowem bodaj najłagodniejszej krytyki. I przez bardzo długi przeciąg czasu tak było istotnie. Wyborcy mieli znaczenie do chwili, kiedy poseł otrzymywał mandat sejmowy lub parlamentarny. Wówczas rozstawał się z nimi i zapominał o nich na cały czas trwania kadencyi sejmu lub parlamentu. Wyborcy robili swoje: oddawali swe głosy kandydatowi, narzuconemu przez komitet samozwańczy, a poseł robił też swoje, przemawiał tak, jak mu nakazywała większość polskiego klubu poselskiego, głosował tak samo, pomimo że olbrzymia większość jego wyborców nie podzielała zapatrywań swego posła. Zresztą o zdanie wyborców bynajmniej mu nie chodziło; to też o jakichkolwiek zebraniach sprawozdawczych posłów, w przeważnej większości wypadków, nie było nawet mowy. Poseł nie zdawał sprawy ze swego postępowania, nie uzasadniał nigdy swego stanowiska i nie żądał od swych wyborców określonych wskazówek, jak ma zachować się wobec tego lub innego wniosku rządowego lub też wychodzącego z łona innych frakcyj parlamentarnych. Wynikiem takich oryginalnych stosunków było to, że np. poseł, wybrany przez drobnych rolników, rzemieślników i robotników, popierał ekonomiczną politykę agrarną junkrów pruskich lub uchwalał wniosek rządowy, obarczający ciężarami podatkowymi właśnie wyborców danego posła. Między „Kołami“ poselskiemi a ogółem wyborców nie było żadnego porozumienia. Wyborcy o treści mów swych wybrańców dowiadywali się z gazet, które nie pozwalały sobie nigdy na słowo krytyki. Pochodziło to stąd, że przeważająca większość gazet poznańskich i zachodnio-pruskich była i jest na usługach „Koła,“ lub któregoś z poszczególnych posłów. Taki *Orędownik*, ostro krytykujący działalność przedstawicieli polskich w parlamencie, był zupełnie odosobniony, a jego wpływ ograniczał się prawie wyłącznie do sfer drobnomieszczańskich samego Poznania.

Jednak choćby się nawet znalazł poseł polski, któryby chciał sumiennie wywiązywać się ze swych obowiązków, pozostawać w ustawicznym związku z wyborcami, zasięgać ich zdania w każdej ważniejszej sprawie, dbać o votum zaufania z ich strony—wszystko to szłoby na marne ze względu na sam charakter „Kół.“ Statut ich zniewala wszystkich członków do bezwzględnej solidarności, czyli, innemi słowy, do zupełnej uległości agraryuszom i ich poplecznikom, stanowiącym większość w każdem. Wskutek takiego składu osobistego polskich „Kół“ w Berlinie, ich polityka ekonomiczna stała zawsze na stanowisku obrony interesów większej własności ziemskiej. Miało to bardzo doniosłe znaczenie dla sprawy polskiej ze względu na Śląsk Górny.

Charakter przemysłowy Górnego Śląska wymaga reprezentacyi, któraby brała pod uwagę interesy ludności robotniczej. Wobec tego „Koło Polskie,“ broniące wyłącznie interesów agrarnych, przyjmując do swego łona pierwszych posłów polskich z Górnego Śląska, musiałoby im zagwarantować możność samodzielnego występowania w sprawach ekonomiczno-społecznych, czyli, innemi słowy, rozluźnić panującą dotychczas między swymi członkami solidarność. Oczywiście, to rozluźnienie musiałoby dotknąć i tych posłów z Poznańskiego lub Prus Zachodnich, którzyby nie chcieli iść na pasku zdecydowanych agraryuszów. Ponieważ w miarę rozwoju świadomości społecznej w warstwie drobnomieszczańskiej i w miarę wyzbywania się ziemi przez szlachtę polską takich posłów-nieagraryuszów mogłoby się w znaleźć więcej, przeto członkowie „Koła“ woleli zrzec się przyłączenia przedstawicieli górnośląskich byle nie narazić na szwank tak dogodnej dla siebie solidarności. Naturalnie upozorowano odporność względem Górnego Śląska tem, że ta prowincya nie jest objęta traktatem wiedeńskim, „Koło“ zaś opiera swe żądania właśnie na tych traktatach. Tymczasem mniej klasowo-egoistyczne stanowisko „Koła“ mogłoby znacznie przyspieszyć proces wyjarzmienia się Górnego Śląska z pod opieki centrum. Pierwszy, przez górnoślązaków wbrew woli centrum wybrany, poseł polski—p. Szmula—objawiał chęć wstąpienia do „Koła,“ ale wobec statutu, gwarantującego solidarność bezwzględną, wstąpić naturalnie nie mógł—i wszedł do centrum.

Co do akcyi politycznej, to, jak naiwnie zdradził się jeden z członków „Koła“ wobec pewnego dziennikarza, reprezentacya polska w Berlinie nie posiada żadnego zgoła programu. Kiedy rząd pruski na natrętne, a tak poniżające przymilanie się Polaków, odpowiedział pogardą i wzmocnieniem środków antypolskich, „Koło“ poczęło prowadzić politykę niby opozycyjną, lecz tak samo niekonsekwentną, jak i poprzednia. Wszelkie ostre wystąpienie łagodzono natychmiast czułą apostrofą pod adresem „dobrej woli“ i sprawiedliwości rządu pruskiego, a jednocześnie popierano rząd bezpośrednio, zwalczając wnioski, wychodzące z łona opozycyi.

Z czasem jednak w samem społeczeństwie poznańskiem poczęło się budzić niezadowolenie z polityki „Koła.“ Pomijając krzykliwe wystąpienie zwolenników *Orędownika*, niewidzących razem ze swym przywódcą, czego mają żądać,

---

kobiety upadłej, chociażby wśród tak szczególnych i łagodzących okoliczności, chociażby z miłosierdzia nad nią samą i jej synem, Tekla z Lubienieckich Różyńska, matrona osiwiała w tradycyi i praktyce czystych obyczajów nie może, nie jest w stanie, czuć nic innego—jeno pogardę!

Szczęśliwy, kto, potępiwszy coś złego, ma prawo jawnie niem pogardzić! Ale nie dla niej to zadowolenie! Duma jej w ciągu całego życia niemiłosiernie przez los chłostana, odebrała teraz cios ostateczny. Dla dziecka zrobiła to z siebie. Ratując jedyne ostatnie swe szczęście, stała się rajfurką, wspólniczką dzieła nierządu, wyłudzała sama od tej nieszczęśliwej skarb jej czci niewieściej. Oszalała z bólu i odurzona nadzieją ratunku, brała na swoją siwą głowę odpowiedzialność za ten czyn przed Bogiem.

Stało się! — Tekla z Lubienieckich Różyńska, jest „koleżanką“ nierządnicy—równe są sobie teraz. Musi z nią podtrzymywać stosunki zażyłe i poufne — ściskać jej ręce i starać się przypodobać; o jej niewinności kłamać przed światem i wypłacać wieczny dług wdzięczności.

Pani Różyńska razem z pacierzem uczyła się prawideł honoru, skoro więc takie sobie przysądziła obowiązki, to je niewątpliwie wypełni. Serafina będzie mieć skrupulatnie odmierzone wszystko, co się jej należy. Pani Różyńska wbrew swej odrazie będzie jej oddawać honory i wypłacać swą wdzięczność — we wszystkich drobiazgowych formach i formułkach Serafina otrzyma cały pozór tego uczucia, tylko bez niego samego. Na dnie serca, gdzie ustaje kontrola świadomości i władza woli, żyć będzie w pani Różyńskiej nie wdzięczność dla Serafiny, lecz pogarda.

I od dziś dnia jeszcze Serafina spostrzeże, że głowa pani Różyńskiej podniesie się o cal wyżej... że jej powieki o jeden włos się przymrużą... jej usta rozciągnie o jeden strych ironia, a ton jej mowy przybierze jakąś nieuchwytną, dziwną lekkość... O, będzie to tylko włos... cień... tylko proszek w oku... ale to będzie śmiertelnie boląca pogarda.

XVI.

Jaskółki świergotały za wysokiem oknem kościelnem w szarym, jesiennym świcie, skacząc po prętach żelaznej kraty. Szczebiot ich mięszał się z dzwonkiem mszalnym, lub ze słowami ministrantury, recytowanej ostrym dyszkantem. Blady dzień na dworze nie zdążył jeszcze wypędzić mroku z nawy kościelnej, w której głębi świece na ołtarzu, nie rozjaśniając przestrzeni, paliły się w powietrzu jak języki ogniste, otoczone aureolą promienną. Msza się skończyła—ksiądz włożył biret, kielich zasłonił korporałem i, szepcąc pacierze, wszedł do zakrystyi. Z pod skrzydła konfesyonału uleciało głębokie westchnienie, rozeszło się po pustym kościele, i wróciło echem — kilku dziadów ślepców i kalek odmawiało głośno różaniec. Ksiądz Dyonizy zmęczony podróżą, z której ledwie wczoraj powrócił, zmieniwszy ubranie, chciał iść na probostwo, gdy zakrystyan zawrócił go raptem. Ksiądz zawiesił na szyi fioletową stułę spowiedników i szybkim krokiem ruszył do konfesyonału. Czarno ubrana kobieta zbliżyła do zakratowanego okienka twarz bladą i wychudłą...

Po kilku szeptem wymienionych pytaniach i odpowiedziach ksiądz zerwał się na równe nogi.

— Co ty mówisz?!.. Ty?!..— wykrzyknął, zapomniawszy się i bezwładnie upadł na siedzenie a ująwszy głowę w ręce, zakołysał się w obie strony pod wpływem jakiegoś bolesnego zdumienia. Przez chwilę słychać było tylko jaskółki za oknem i głośny oddech dwóch wzruszonych piersi: ksiądz zastygł w swojej zadumie — kobieta klęczała jak posąg.

— Proszę cię Serafino—ozwał się wreszcie głosem sztucznie spokojnym—czy jesteś zupełnie przytomna?... czy nie mówisz pod wpływem gorączki albo wizyi?

Penitentka milczała. Wtedy, popchnąwszy drzwi kolanem, wypadł nagle z kon-

w prasie najmłodszego pokolenia inteligencyi poznańskiej poczęły się odzywać nieśmiałe głosy za reformą „Koł.“ Ostro natomiast i bezwzględnie wystąpiła *Gazeta Robotnicza* przeciwko polityce dotychczasowej reprezentacyi polskiej w Berlinie. Pod jej to wpływem wyrazy nagany dla „Koła“ poczęły rozlegać się na zebraniach ludowych w ostatnich czasach. Zwłaszcza materyału do krytyki dostarcza mówcom ludowym postawa „Koła“ wobec sprawy ceł zbożowych. W tych dniach w Inowrocławiu zwołane zostało wielkie zgromadzenie ludowe, poświęcone wyłącznie roli, jaką „Koło“ odgrywa wobec swoich wyborców. Inowrocław jest jedynym niemal punktem, w którym udało się zapewnić dużą salę dla zgromadzeń robotniczych, przeto na zebranie przybyli nietylko miejscowi, lecz i z miast innych, jak: Gniezno, Trzemeszno. Ponieważ poprzednio krytykowano zaocznie działalność posła z okręgu Inowrocław—Mogilno, dr. Krzymińskiego, więc obecnie wysłano do niego zaproszenie, żądające stawienia się przed wyborcami i zdania im sprawy z czynności w parlamencie. Można się było spodziewać, że p. poseł nieprzyzwyczajony do takiej kontroli, nie zjawi się na zgromadzeniu. Tak się też stało. Dr. Krzymiński odpowiedział bardzo niegrzecznym listem na zaproszenie zwołujących i pozostał w domu. Wywołało to wielkie niezadowolenie wśród zgromadzonych i przyczyniło się tylko do zaostrzenia krytyki postępowania tak posła inowrocławskiego, jak i wszystkich jego kolegów. Tylko brak lokalów jest przyczyną, że zgromadzenia, krytykujące zachowywanie się „Koła,“ nie odbywają się w całym kraju. W ten sposób szersze sfery ludności wystąpiły przeciwko „Kołu“ dotychczas tylko w Inowrocławiu i nieco wcześniej w Poznaniu, w lokalu, zdobytym przez robotników niemieckich, a użyczonym na zebranie — polskim.

Krytyczne usposobienie szerokich mas ludności polskiej względem „Koła“ wpłynie niewątpliwie na wynik, zbliżających się, wyborów do parlamentu. Obawa tych ostatnich daje się łatwo wyczuwać z tonu prasy poznańskiej, oddanej „Kołu.“ Jeszcze więcej obawiają się centrowcy na Górnym Śląsku. Nawet kardynał Kopp, jeden z głównych inicyatorów wypierania polskości z kościołów górnośląskich, począł w ostatnich czasach kokietować Polaków w swym organie— *Gazeta Katolicka*, co mu zresztą nie przeszkadza prowadzić w dalszym ciągu polityki germanizacyjnej. Tak np. z czytelni seminaryum wrocławskiego, będącego pod bezpośrednim dozorem kardynała, już dawno usunięto wszystkie pisma polskie (z wyjątkiem owej *Gazety Katolickiej*), obecnie zaś władza seminaryum śledzi pilnie, czy kto z kleryków nie czytuje prywatnie pism polskich. Jednemu z nich, którego przyłapano na gorącym uczynku przeglądania jakiejś poznańskiej gazety polskiej, zagrożono wydaleniem, gdyby jeszcze raz dopuścił się czegoś podobnego. Do biblioteki seminaryum prawie nie zakupuje się obecnie książek polskich i klerycy, którzy po wyświęceniu mają zostać pasterzami w parafiach polskich, mogą zapomnieć zupełnie w seminaryum języka swych przyszłych owieczek.

Prasie ludowej przybył nowy członek w postaci *Gazety Polskiej*, która wychodzi w Kościanie, ale redagowana jest w Zabrzu na Górnym Śląsku. Pismo to, prowadzone przez p. Joachima Sołtysa, zajmującego dotychczas stanowisko pośrednie między katolikowcami a demokratami narodowymi, nie jest wyłącznie śląskiem, lecz pragnie uwzględniać równomiernie interesy wszystkich prowincyj Prus polskich. Prawdopodobnie *Gazeta Polska* będzie wydawana w duchu pokrewnym *Dziennikowi Berlińskiemu* i *Gońcowi Wielkopolskiemu*.

Rozwój prasy w Poznańskiem, Prusach Zachodnich i na Górnym Śląsku jest jednym z licznych objawów tej żywotności narodowej ludu polskiego, z jaką napróżno walczą hakatyści i rząd pruski. Ciekawe są ogłoszone niedawno cyfry, dotyczące liczby prenumeratorów pism polskich.

W Poznańskiem wychodzi obecnie trzynaście pism, wśród których najwyższą liczbę prenumeratorów posiada *Przewodnik katolicki*: okrągłe 50,000. Zaraz po nim idzie *Praca* p. Biedermanna, licząca 12,000 prenumeratorów. Z reszty pism poznańskich tylko *Wielkopolanin* dosięga 10,000, *Dziennik Kujawski* i *Postęp* mają po 4,000, *Przyjaciel Ludu* 3,000, *Dziennik Poznański* 2,500, *Orędownik* 2,000, *Kuryer Poznański* 1,500, *Lech* 1,200, *Goniec Wielkopolski*, *Gazeta Ostrowska* i *Gazeta Kościańska* po 800—1,000. Razem więc przeszło 90,000. Zważywszy, że znaczna część tych pism wychodzi codziennie, musimy przyznać, że jest to liczba bardzo znaczna.

W Prusach Zachodnich tylko jedno pismo wychodzi codziennie, mianowicie *Gazeta Toruńska*, licząca 3,000 prenumeratorów. Natomiast ta prowincya może się pochwalić *Gazetą Grudziądzką*, posiadającą aż 34,000 odbiorców. Z pomiędzy innych pism zachodnio-pruskich *Gazeta Gdańska* i *Przyjaciel* mają po 4,000 prenumeratorów, *Pielgrzym* 2,500 i *Gazeta Olsztyńska* 1,000. Razem przeszło 48,000.

Na Górnym Śląsku najbardziej rozpowszechnionym jest *Katolik* bytomski, wychodzący w 26,000 egzemplarzy, *Praca* — pismo klerykalne dla robotników ma 8,000 prenumeratorów, *Górnoślązak* 4,500, *Dziennik Śląski* 3,000, *Gazeta Opolska* i *Gazeta Robotnicza* po 2,000, *Nowiny Raciborskie* 1,500.

Pośrednik.

TRYUMF SPOŻYWCY.

Śmiertelnik, pospolity został mile zdziwiony radosną nowiną, iż „Zjednoczone Stany Europejskie“ w osobach swych przedstawicieli na cukrowej Konferencyi Brukselskiej *) raczyły łaskawie zezwolić na spożywanie słodyczy w większej ilości, niż dotychczas. Cukier jest artykułem bardzo pożywnym, tak dalece pożywnym, iż zarządy wojskowe niektórych państw proponowały powiększyć żołnierzom porcye dzienne cukru. Z tych też względów, po dwukrotnych nadaremnych usiłowaniach porozumienia się w kwestyi premij cukrowych i opieki państwowej nad biednymi cukrownikami, podano sobie nareszcie ręce pod hasłem: „Niechaj będzie na zdrowie spożywcy.“ Tak przynajmniej zapewniają sprawozdania prasy europejskiej. W rzeczywistości rzecz się ma nieco inaczej. Ażeby zrozumieć istotę, proklamowanego obecnie, „pokoju powszechnego,“ musimy się cofnąć nieco wstecz.

Pierwszym szczerym opiekunem cukrowników był Bismarck. On też zaprowadził dla „dobra przemysłu,“ a raczej jego przedstawicieli o bezdennych kieszeniach i wilczym apetycie, premia od wywożonego cukru. W ten sposób spodziewano się zachęcić do spotęgowania eksportu ku chwale narodu niemieckiego. Ażeby jednak stwo-

*) W Konferencyi nie przyjęły udziału Stany Zjednoczone i Rosya

---

fesyonału; wyrwał jej z rąk sutannę, której się uczepiła i szybko uciekł z kościoła. Po drodze kopnął nogą schodki przenośne, które runęły z łoskotem i zamierzył się pięścią na zakrystyana, który znów chciał się zbliżyć doń z jakimś interesem, lecz zniknął, przerażony fioletowo-purpurową twarzą proboszcza.

Cmentarz go ukoił swą melancholijną poezyą. Było tu smutno, ale tak spokojnie i dobrze. Serce ludzkie zdziwiła majestatyczność Natury, wobec której wszystkie jego bóle cichną w poczuciu swej znikomości. Pod pochyłymi krzyżami z gabczastego kamienia, pod ciężarem wielkich spękanych głazów leżały prochy, które tak dawno już były ludźmi, że w żyjących nie budziły strachu i wstrętu śmierci. Wiatr czesał troskliwie bujne trawy i lśniące liście na topolach i obmywał je rosą, jak dzieci. Wróble skakały po ostrych zębach dwustronnego daszku, który zczerniałymi gontami osłaniał od deszczów szary mur obwodowy, powyciskany w nisze, w których tuliły się kamienne, popękane ławki. Na jednej z nich siadł ksiądz Dyonizy, ocierając raz po raz pot kroplisty z twarzy.

Słońce jaśniało na niebie, jak biblijne oblicze proroka a przed niem chmurki różowo-złote leciały gronem kędzierzawych heroldów-aniołków.

Jedna, jedyna dusza, w którą wierzył, którą czcił jak świętą!..

„Dlaczego odebrałeś mi ją, Boże, a razem z nią ostatnią wiarę w świętość człowieka?“ — skarżył się, zawiesiwszy oczy na chmurkach różowych, podobnych do wianka z róż splecionego.

„Dlaczego dopuściłeś, że upadła? — dlaczegom wprzód nie umarł? — dlaczego mnie właśnie ona to przyszła powiedzieć?“

Ilekroć rozgoryczony rozczarowaniem miał już potępić naturę ludzką, tylekroć stawał przed nim biały duch Serafiny, a serce, biorące ludzkość w obronę, mówiło do tego surowego sędziego, wskazując na nią: *ecce homo*. Dzięki tej duszy, stary spowiednik wierzył w człowieka - a dziś!.. więc i ona? — i ona upadła tak mizernie, tak pospolicie...

Twarz księdza powlokła się wyrazem niezmiernego niesmaku, a jednocześnie pogardliwej litości. I ciężko podniósłszy się z ławy, starczym krokiem powlókł się zgarbiony do konfesyonału, przy którym czekała penitentka.

Szept spowiedzi rozpoczął się nanowo.

— Jak długo trwał ten stosunek?

— Trwa dotychczas...

— Więc pocóżeś tu przyszła? czy urągać sakramentowi?

— Każdego dnia... każdej chwili chciałabym zerwać... i nie mogę!.. nie mogę tego uczynić!..

— Tak więc szybko postępuje gangrena. Już nie masz siły wyrzec się występnych rozkoszy?

— Jakich rozkoszy?!.. Oo!.. żadnych.. ojcze duchowny... Ja tego nie znam!..

— Jakto?..

— Ależ kochałaś tego człowieka!.. musiałaś go kochać przecież?..

— Nie kochałam nigdy nikogo taką miłością, jaką kobiety kochają mężczyzn.. Antoni był mi zawsze drogim, jak brat! — a potem jeszcze zespoliły nas wspólne cierpienia, to, co on przeze mnie przebolał i to co ja dla niego zniosłam... przywiązałam się do niego, jak niańka do dziecka, szarytka do chorego! Ach, właśnie dlatego, że kocham go jak brata, jak towarzysza niedoli i dzieło mego miłosierdzia, stosunek w jakim zostajemy, jest dla mnie tem okropniejszy!.. to kazirodztwo moralne!. Lecz boję się sprzeciwić mu!.. Powiedział mi, że powtórne szaleństwo byłoby już nieuleczalnem?..

— Ach!.. jakże cię ludzie straszliwie wyzyskali! — zawołał ksiądz, uderzając dłońmi w oparcie konfesyonału...

(C. d. n.)

rzyć fundusz dla tej specyalnej diety premiowej, pobierano jednocześnie podatek od materyału, użytego do fabrykacyi. Cukrownicy, widząc jak dalece państwu zależy na ich dobrobycie, starali się poprzeć Bismarcka w jego szlachetnych dążeniach. Ulepszali oni ustawicznie metodę produkcyi, chcąc z tej ilości opodatkowanego materyału (buraków) otrzymać jak najwięcej cukru. Nie dość tego, okradając rząd przy opłacaniu podatku, pobierali swą premię przy wywozie na podstawie taksy urzędowej, a więc odpowiednio do fikcyjnej, nie zaś istotnej ilości buraków, zawartej w produkcie. Nic dziwnego, iż cukrownie rozmnożyły się jak grzyby po deszczu, a wytwórczość rosła w takiej mierze, że wkrótce zabrakło zbytu. Pomimo to, fabrykacya nie zmalała; gdyż cukrownicy nie mogli przepuścić tak znakomitej sposobności wzbogacenia się drogą podwójnego oszustwa.

Caprivi postanowił położyć kres temu bozezelnemu szwindlowi. W 1891 roku oświadczono cukrownikom, iż od 1897 r. ustaną wszelkie premia; zamiast podatku od buraków, użytych do fabrykacyi, zaprowadzono opłatę od cukru spożywanego. Cukrownicy podnieśli hałas i, zaledwie Caprivi ustąpił, cofnięto w r. 1895 wydane rozporządzenie. Prof. Paasche, słynny teoretyk cukrownictwa, oświadczył w imieniu cukrowników, iż wszelkie premia są szkodliwe i demoralizujące. Rząd powinien zatem dołożyć starań, aby je zniesiono na całym świecie. Na to jest jest jeden tylko środek: podwoić premię dotychczasową (zamiast 1,25 marek — 2,20), gdyż wtedy państwa będą zmuszone pójść śladem Niemiec, a w takim razie zohydzi się („Abckeln“) światu dotychczasową praktykę „golenia - strzyżenia“ spożywcy. Słowem: klin-klinem! W istocie, cały ciężar eksperymentu zwalono na barki kategoryi społecznej, zwanej „spożywcą.“ A więc przedewszystkiem opłacał on podatek „konsumcyjny“ (Verbrauchsabgabe), a to dla utworzenia funduszu, z którego cukrownicy pobieraliby swe premie. Dalej: dzięki tym premiom fabrykanci byli w możności iść w zawody z konkurentami na rynku zagranicznym, ale jednocześnie chętnie odstępowali swój wyrób krajowi, jeśli ten, płacąc za cukier drożej, zwracał eksporterowi owe 10 funtów premij, których cukrownik zrzekał się, ofiarując swój fabrykat na miejscu. Wreszcie, ażeby zagraniczny wytwórca nie zlitował się nad niemieckim, zagrodzono mu drogę baryerą w formie 10-fenigowego cła oraz 10-fenigowej akcyzy.

Cała ta metoda hodowania krajowego przemysłu okazała się tak oryginalną, iż zyskała poklask wielu innych państw, które natychmiast, bądź ze względów konkurencyjnych, bądź polityczno - ekonomicznych, skopiowały pomysł niemiecki. Ta powszechna gorączka premiowa pociągnęła za sobą dwojaki skutek: po pierwsze spożycie cukru pomimo bajecznego postępu techniki wzrosło w poważnym stopniu tylko w kraju, nie znającym żadnych premij. W Anglii mianowicie przypadało rocznie na głowę 40 kilo cukru, podczas gdy w Niemczech przeciętna osoba spożywała 14 kilo. (W Rosyi rubryka ta wynosi 5 kilo). Słowem, cały świat opłacał podatki i z odpowiednio utworzonych funduszów tuczył cukrowników premiami jedynie w tym celu, aby Anglia i po części Ameryka mogły jak najwięcej spożywać cukru po możliwie nizkiej cenie. Podczas gdy w Niemczech funt cukru kosztuje 17 kop., Anglik płaci za funt 4¼ kop. Ten fakt już uwydatnia całą bezmyślność stosowanego w naszkicowanej formie systemu protekcyjnego.

Powtóre: podwyżka premij posłużyła za paprykę dla podniebienia cukrowników. Apetyt ich rósł, a wraz z tem wzmagała się produkcya. W krótkim stosunkowo czasie ukazały się symptomaty przesilenia chronicznego. Cena zaczęła szybko spadać. Wtedy wytwórcy zrozpaczeni wracali na rynek krajowy, u którego wejścia stał z wyciągniętym mieczem w ręku, w czapce urzędnika celnego anioł, wzbraniający wejścia obcym rywalom. Lecz i ta imigracya nie mogła poprawić sytuacyi. Cukrownicy jęli się innego środka: utworzono kartele, które za pomocą wszechstronnej dyscypliny usiłowały powstrzymać dalszy spadek ceny. Pod karą opłaty konwencyonalnej kupcy musieli zobowiązać się do do przestrzegania rozkazów kartelowych. Protestowali handlarze kolonialni, cukiernicy, fabryki czekolady—ale kartele tłumiły zwycięzko wszystkie skierowane przeciwko ich panowaniu bunty. Pomimo to nadprodukcya we wszystkich krajach nie ustawała, a zastój na rynku wszechświatowym musiał wywołać wtórną falę zniżkową w krajach eksportowych. Wtedy przypomniano sobie, iż kupcy średniowieczni, nie chcąc dopuścić do stanienia pieprzu, topili całe ładunki jego w morzu. Wobec kosztowności i ambarasowności tego rodzaju procedury, zdecydowano cukier w formie zdenaturyzowanej (przeistoczonej) zaofiarować... trzodzie chlewnej. Wszczęto również kampanię przeciwko sacharynie. Tworzono najbajeczniejsze projekty, byle nie dopuścić do tego, aby spożywca objadał się cukrem i psuł sobie niepotrzebnie żołądek. Ten stan rzeczy potrwałby prawdopodobnie bardzo długo, gdyby nie wypadek zupełnie nieprzewidziany. Tuczona cukrem Anglia zażądała zniesienia premij, a w razie oporu zagroziła wprowadzeniem, wbrew własnej tradycyi cła równoważnego. Europa oniemiała. Prasa europejska nietylko oburzyła się na niewdzięczność Albionu, ale podziwiała jego krotkowidztwo. Rzecz wkrótce wyjaśniła się. Zachodnie Indye Angielskie, produkujące cukier trzcinowy, oświadczyły pewnego dnia metropolii, że imperyalizm jest rzeczą bardzo piękną o ile istnieje nietylko na papierze i w popisach retorycznych Chamberlainów. Anglia zrozumiała przymówkę i musiała teraz w tak ciężkich dla siebie czasach dać koloniom dowody swej pieczołowitości. Dopóki zagraniczny eksporter otrzymywał od swego rządu wynagrodzenie za wywożony cukier, dopóty zachodnio - indyjski wytwórca, stojący na własnych nogach, nie mógł rywalizować z zagraniczną konkurencyą. Pewnego dnia tedy, jakeśmy rzekli, Anglia zażądała od państw europejskich zniesienia premij. To właśnie dało powód do zwołania Konferencyi w Brukselli.

Pomysł uregulowania kwestyi cukrowej drogą międzynarodową pochodzi właściwie od finansisty Ryszarda Kaufmana. Już przed ćwierćwiekiem (1876 r.) wyłożył on w obszernej pracy plan uregulowania międzynarodowego wywozu i produkcyi cukru. Większość państw europejskich, chcąc niechcąc, przystała na propozycyę Anglii. Niedawno bowiem już Stany Zjednoczone, a wślad za nimi Indye Wschodnie, pokazały drzwi cukrowi europejskiemu. Niegościnność Anglii wywołałaby jedną z najstraszniejszych katastrof, jakie kiedykolwiek spotkały przemysł europejski. Pomimo tych pozornych, lub szczerych dobrych chęci ze strony państw europejskich, przywitano konferencyę wyrazami powszechnej wątpliwości. Zle wróżył przedewszystkiem śmieszny i bezowocny rezultat jej poprzedniczek, obradujących w Londynie i Paryżu. Następnie system protekcyjny Europy składał się z takiej gmatwaniny środków prawodawczych, że zaprowadzenie ładu w tym labiryncie i uzyskanie zgody państw wydawało się niemożliwością. Przy najsłabszym zamachu na przywileje cukrowników, przedstawiciele państw wołali: „Non possumus,“ co jest rzeczą zrozumiałą wobec potęgi społecznej, jaką rozporządzają w każdym kraju wytwórcy gałęzi cukrowniczej. Lecz Damoklesowy miecz odwetu celnego, jaki Anglia zawiesiła nad głowami obradujących, nie chybił tym razem swego przeznaczenia i skłonił rywali do podania sobie ręki, zwłaszcza że każde z państw europejskich pragnęło w głębi duszy wydobycia się z trzęsawiska nadprodukcyi premij bezowocnych a kosztownych. W ten sposób powstały uchwały Konferencyi, stanowiącej, niezależnie od swych postanowień epokę, na polu polityki ekonomicznej. Mamy tu wybitny przykład normowania wywozu drogą porozumienia międzynarodowego. Nie zadziwilibyśmy się wcale, gdyby pewnego dnia pojawił się projekt zastosowania tej zasady do traktatów handlowych i zwołania w tym celu kongresu międzynarodowego. Kwestye tego rodzaju, jak cła i premia, nie powinny już dziś być rozwiązywane przez jakiekolwiek państwo na własną rękę i podług własnego widzimisię. W tych wypadkach, zupełnie tak samo jak przy zaborach wojennych, bardzo łatwo wkracza się w sferę cudzych wpływów. Stąd pozostaje tylko jeden krok do międzynarodowych sądów rozjemczych dla spraw handlowo-politycznych, jak je projektuje austryacki ekonomista Grunzel.

Na Konferencyi Brukselskiej zapadły następujące decyzye: od r. 1903 ustają wszelkie premie wywozowe dla cukru wogóle. Przewyżka cła nad „akcyzą“ cukrową może wynosić w najlepszym razie 6 fr. Te państwa, których przemysł nie wytrzyma nagłej zmiany temperatury celnej i będzie chylił się ku uwiądowi, mają prawo zażądać rewizyi umowy na swą korzyść. Konferencya zatem i jej organy będą stały po nad wolą pojedynczych rządów. Państwa, wyłamujące się z pod przyjętych zobowiązań, spotyka infamia obostrzeń celnych na całej linii.

Jakież skutki ekonomiczne — można zapytać—pociągnie za sobą opisywany przewrót? Już dziś z wielkiem prawdopodobieństwem da się przepowiedzieć zniżkę ceny cukrowej. Zniesienie premij jest glejtem dla przemysłu krajów, które dotychczas pozostawały w cieniu. Zwłaszcza Indye Zachodnie i państewka Południowo - Amerykańskie szykują się do kampanii konkurencyjnej na wielką skalę. Konkurencya, wraca dziś w najlepsze, bynajmniej nie ustanie, dopóty, dopóki nadprodukcya nie zmaleje. Zarówno cukrownikom, jak plantacyom buraków mniejszego kalibru, o ile dotychczas utrzymywały się przy życiu jedynie dzięki premiom, nie pozostanie nic innego, jak ustąpić z pola bitwy.

W każdym razie spożywca może zacierać ręce jako *tertius gaudens*. Cukier, jako artykuł spożywczy, jest na lądzie europejskim jeszcze tak mało rozpowszechniony, ze szkodą dla ogółu, jak utrzymują hygieniści, iż zniżkę ceny można przywitać, jako wypadek bardzo pomyślny. Niestety jednak, smak i potrzeby spożywcy zmieniają się bardzo wolno. Będzie to rzeczą nauki, hygieny, rządu i innych czynników wpływowych wdrożyć go do korzystania z dobrodziejstw ofiarowanych przez „Stany Zjednoczone Europejskie.“

H. Forszteter.

Z POWODU KONGRESU SYONISTÓW.

Mam przed sobą szereg sprawozdań z ostatniego — piątego — kongresu syonistów, odbytego w Bazylei, szereg zeszytów centralnego organu tego ruchu, wiedeńskiego tygodnika *Die Welt*, wychodzącego pod redakcyą dr. Teodora Herzla, między innemi — specyalny zeszyt „agitacyjny,“ poświęcony ekonomicznym

warunkom Palestyny, a zredagowany przez warszawianina, p. Adolfa Neufelda... Czytam, zapoznaję się szczegółowo z tym ruchem, staram się przeniknąć psychologię jego, która uderzyła mnie już i zastanowiła przy osobistem spotkaniu z paroma uczestnikami kongresu — tego „parlamentu żydowskiego.“ I dochodzę do przekonania, które tu — jak wszystko, co piszę — wypowiem w mojem własnem tylko imieniu, ale zupełnie otwarcie: do przekonania, że w syonizmie mamy do czynienia z ruchem społecznym silnym, poważnym, szybko się wzmagającym, na który my szczególnie powinniśmy zwrócić baczną i — co ważniejsza — bezstronną uwagę.

Ruch to zresztą bardzo skomplikowany. Inicyator jego i główny kierownik, dr. Herzl, nieraz szyderczo „królem żydowskim“ zwany, ale faktycznie człowiek, obdarzony wielką rzutnością i zmysłem organizacyjnym, jest z przekonania liberałem bladego odcienia *Neue Freie Presse*, jak najskrupulatniej przy każdej sposobności zaznacza, że „syoniści nie dążą do powszechnego przewrotu,“ a o pożyteczności swego pomysłu nowego exodu usiłuje świat europejski przekonać, między innymi, tym argumentem, że „proletaryat żydowski jest nietylko najbiedniejszym i najnieszczęśliwszym, ale też najniespokojniejszym i najbardziej niepokojącym...“ Dr. Herzl wszystkie swe nadzieje opiera na łasce Jego Sułtańskiej Mości Abdul Hamida, względnie któregoś z jego następców, z najwyższą dumą opowiada o audyencyi swej u sułtana (w maju r. z.), o tem, jak łaskawie był przyjęty, jak padyszach sprzyja Żydom, i za każdym razem w imieniu całego kongresu przesyła do stóp jego tronu najpokorniejsze wyrazy, na które istotnie ochmistrz dworu, Ibrahim bej, podziękowaniem sułtańskiem odpowiada... Ale obok tych „mężów stanu“ *en disponibilité*, między którymi wybitne miejsce zajmuje też znany Max Nordau, obok rabinów, którzy z początku byli gwałtownie syonizmowi przeciwni, a teraz coraz liczniej zaczynają wstępować do jego szeregów, znajdują się tu także umiarkowani reformatorowie społeczni, jak p. Nossig, jak znany teoretyk kwestyi agrarnej dr. Fr. Oppenheimer, znajdują się — co ważniejsza — i przedstawiciele skrajnej lewicy społecznej, jak np. wybitny publicysta francuski i historyk antysemityzmu, Bernard Lazare, a obok tej lewicy i inna odmiana radykalizmu: „młodzi syoniści,“ oddani zadaniom sztuki i literatury, dążący tą drogą do odrodzenia swego narodu. Weźmy inne kryteryum podziału — a zobaczymy, że jedni syoniści zajmują się ekonomiczną stroną kwestyi, opracowując zasady przyszłej masowej kolonizacyi, tworząc bank dla niej, dziś już rozporządzający przeszło 3 milionami rubli w gotówce, to znów obmyślając program ekonomiczny na dziś, sposoby podniesienia poziomu bytu nędznej masy żydowskiej, racyonalnego zorganizowania emigracyi itd.; inni uprawiają politykę; inni jeszcze myślą o wychowaniu fizycznem, zakładają towarzystwa gimnastyczne i sportowe, występują przeciw zbyt wczesnemu zawieraniu małżeństw, przeciw wycieńczaniu dzieci, zbyt wcześnie oddawanych do niezdrowych szkół; to znów mamy takich, którzy stawiają sobie za zadanie podniesienie oświaty, rozpowszechnienie kultury nowożytnej, a zarazem utrzymanie jej w związku ze starożytną kulturą żydowską; w Jerozolimie istnieje biblioteka narodowa, powstał plan założenia narodowego uniwersytetu żydowskiego, systematycznie wychodzą różne wydawnictwa popularnonaukowe, we Frankfurcie istnieje towarzystwo badania pomników historyi i sztuki żydowskiej oraz opieki nad nimi, w Hamburgu — towarzystwo ludoznawcze żydowskie, zbiera się i wydaje pieśni ludowe wraz z melodyami; nakoniec wreszcie — budzi się i rozkwita sztuka narodowa żydowska: malarstwo poezya, powieść, muzyka...

Mamy więc w syonizmie z jednej strony widoczny podział na stronnictwa, z drugiej — podział pracy, której różne formy zmierzają ku jednemu celowi. Otóż pytam, co jest tym wspólnym celem, zespalającym artystę i ekonomistę? Co sprawia, że różne stronnictwa przekonaniowe, nieraz bardzo daleko od siebie stojące, czują między sobą coś wspólnego? Oczywiście nic innego, tylko *narodowość*. Wystarcza przypatrzeć się ruchowi syonistycznemu bez uprzedzeń, aby poznać, że z Żydów, tej ludności, rozrzuconej po całym świecie, mówiącej najrozmaitszymi językami, ludności, której różne odłamy przez długie wieki rozproszenia nic nie miały wspólnego, prócz tradycyi i religii, tworzy się narodowość nowożytna. Mówię: nowożytna, albowiem narodowość żydowska tworzy się pod wpływem tych samych czynników, które umocniły i powołały do życia albo wskrzesiły narodowości: francuską, niemiecką, włoską, słoweńską — aż do serbsko-łużyckiego odrodzenia, a przynajmniej pod wpływem najważniejszego z nich, owego wielkiego prądu dziejowego, którego punktem wyjścia jest Rewolucya francuska: *demokratyzacyi kultury* — uprzystępnienia ludowi nabytych dóbr cywilizacyi, zawładnięcia niemi w dalszym ciągu i dalszego ich rozwijania przez masy ludowe. Ten charakter patryotyczno-ludowy bardzo jest widoczny w syonizmie. Oto np. na ostatnim kongresie p. Sokołow z Warszawy domagał się, aby nauka żydowska przestała być własnością uprzywilejowanej garstki uczonych, a zjednoczyła się z życiem żydowskiem i przez to została narodową. Ta cecha i różne jej konsekwencye dają się szczególnie zauważyć w pięknym i ciekawym referacie p. Marcina Bubera o sztuce żydowskiej. Ten przywódca „młodego syonizmu“ bierze z góry za punkt wyjścia — wkroczenie Żydów w sferę cywilizacyi zachodniej i protestuje przeciwko wszelkiemu „sentymentalizmowi względem *ghetta*.“ Za smutny epizod uważa on asymilacyę Żydów z otoczeniem europejskiem — do czego jeszcze powrócimy — ale twierdzi stanowczo, że dopiero zbliżenie się z cywilizacyą nowożytną, z prądem walki o prawa człowieka, dało Żydom możność zaspokojenia odwiecznych dążeń do samoistnego życia narodowego, które były bezsilnemi w starych formach nieokreślonej tęsknoty lub ekstaz mesyanicznych. Sztuka plastyczna i dźwiękowa, literatura — są najwyższemi formami rodzącej się świadomości narodowej. Ta nowa świadomość musi szanować formy, w jakich dusza narodu wyrażała się dawniej: mowę i obyczaje, pieśni i melodye, ubiory i światła — mówca ma oczywiście na myśli wogóle religię — ale nie jako coś niezmiennego, świętego i nietykalnego, tylko jako drogocenny materyał, z którego teraźniejszość i przyszłość ma zbudować piękno nowe. I kiedy p. Buber, wyliczając artystów żydowskich, przejętych duchem narodowym, mówi o takim Maurycym Gottliebie, który umarł w 23 roku życia, o Lesserze Ury, o E. M. Liliennie i in., o „królestwie wędrówki i bólu, które jest w ich duszach,“ o „monumentalnych symbolach losu narodowego, które oni stworzyli,“ to mówi o nich (niech mnie ukamienują za bluźnierstwo!) zupełnie tak samo, jak my — o Arturze Grottgerze... Jest głęboka poezya i niezawodne uczucie narodowe w tych wszystkich, na każdym kroku w poezyi i sztuce syonistycznej spotykanych, obrazach „Golus,“ czyli nocy wygnania i błądzenia, w tem wywoływaniu postaci Salomonów i Machabejczyków, w tym całym na pojęcia nowożytne przekładanym mesyanizmie, nawet w agitacyjnej raczej formule programu, dotyczącej Palestyny: „Dajcie tę ziemię bez ludu — ludowi bez ziemi!“

Jeśli porównamy syonizm z różnymi ruchami narodowymi, szczególnie tej kategoryi, co np. irlandzki, albo francuski w Alzacyi i Lotaryngii, albo włoski przed zjednoczeniem, wogóle — powiedzmy — z różnemi *irredentami*, to uderzy nas wiele jeszcze cech analogicznych. Przedewszystkiem — pewien *wewnętrzny* radykalizm społeczno-polityczny. Jakimi namiętnymi oklaskami darzył kongres gwałtowne napaści poety i powieściopisarza, Izraela Zangwilla (piszącego po angielsku i dość znanego w Anglii), a nawet — Nordaua, na kierowników fundacyi Hirscha, którzy, pomimo widocznego niepowodzenia filantropijnej kolonizacyi argentyńskiej, nie chcą milionowego zapisu obrócić na cel „narodowy,“ — na milionerów żydowskich wogóle, którym jest dobrze i którzy trzymają się zdala od ruchu narodowego. Zangwill powiada, że fakt ten przynajmniej niszczy legendę o solidarności wszystkich Żydów i o bogactwie ich wszystkich, a dowodzi, że „niewielka ilość bogaczów żydowskich solidarną jest między sobą przeciw całej reszcie Żydów.“ Istotnie, owe 3 miliony, które dziś już posiada bank kolonizacyjny, wpłacone zostały wyłącznie przez drobnych akcyonaryuszów; na masy średnio-zamożne oraz niezamożne, na składki groszowe, liczył też kongres, zakładając nowy „Skarb narodowy“ z siedliskiem w Bazylei, gdzie władze — mówiąc nawiasem — dają syonistom wszelkie ułatwienia prawne.

(D. n.)

Kazimierz Krauz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zmartwychwstanie młodości.

Człowiek należy fizycznie do drapieżnych, a duchowo — do przeżuwających.

Dlatego żyjemy przeważnie młodością. Jej obrazy, wspomnienia, upodobania, uczucia stanowią grunt późniejszej naszej duszy.

Mdły sok z brzeziny, który chętnie piliśmy w dzieciństwie, daleko bardziej nam smakuje, niż wszystkie nektary poznane w starości. Bo pierwszy budzi nam w pamięci cudowne uroki wiosny naszego życia, drugie przypominają nam tylko swą handlową cenę.

Jeżeli po raz pierwszy w wieku dojrzałym słyszymy pieśń „Wesoły nam dzień dziś nastał,“ nie zachwyca nas ona ani tekstem, ani melodyą; jeżeli zaś słuchaliśmy jéj za dni młodych, wydaje nam się ciągle prześlicznym hymnem.

Czy kadzidło trybularza może się równać z woniami wytwornych pachnideł? Nie. A jednakże jest ono przyjemniejsze od nich dla każdego, kto napawa się niem jako dziecko.

Prawo pierwszeństwa wrażeń i uczuć jest tak potężnem, że go nie mogą złamać najsilniejsze a przeciwne im przekonania następnie zdobyte. Na tych przekonaniach młodość kładzie ciągle swoją rękę i obciąża je swoją należnością, którą wszyscy spłacają i nigdy całkowicie spłacić nie mogą.

Czy stolicą mojego świata jest Londyn, Paryż lub Berlin? Bynajmniej. Jest nią Kazimierz. Tam byłem dzieckiem i młodzieńcem, tam życie zapisywało pierwsze, najczystsze i najtrwalsze karty w mojej duszy. Tych kart żaden człowiek nie wydziera, a każdy ciągle odczytuje.

Bo początek księgi naszego życia zawiera poemat, środek — rozprawę filozoficzną, a koniec — rachunki praktyczne. Te rachunki nużą, ta filozofia okazuje się błędną, tylko ten poemat czaruje.

„Powróć mi te czasy — woła poeta w *Fauście* — kiedy ja dopiero stawałem się, kiedy nieprzerwanie wytryskał we mnie obfity zdrój nowych pieśni, mgły zasłaniały mi świat, pączek zapowiadał cuda, kiedy zrywałem tysiące kwiatów napełniających doliny. Wtedy nic miałem nic, a jednak dosyć — dążenie do prawdy i rozkosz w omamieniu. Powróć mi owe nieokiełznane porywy, głębokie, bolesne szczęście, siłę nienawiści i potęgę miłości. Wróć mi moją młodość!“

Czy jest krzyk, czy jest tęsknota, czy jest daremna prośba, którąby częściej wydzierała się z serca ludzkiego?

Wiedza, zapas i wytwór dojrzałego rozumu jest wozem o jednem kole, na którym niepodobna jechać ani spiesznie, ani długo. Można tylko wlec się powoli. Do tego wozu uczucie przyprawia trzy inne koła, dzięki którym on się toczy szybko i daleko, chociaż niebezpiecznie.

Zanim człowiek dowie się, czem jest słońce, wprzódy niem się rozkoszuje i więcej korzysta z jego wpływów i zachwytów nad niem, niż ze znajomości jego istoty.

Duch mój, gdyby nawet zjadł co miesiąc ostatnie wydanie podręcznika kosmografii, umarłby z głodu, patrząc na wybite gwiazdami niebo. Ażeby nie zmarnieć, karmi on się poezyą ciał niebieskich, której przedziwny smak czuje głównie w młodości. Potem już tylko przypomina sobie te uczty.

Jeżeli miłość jest ożywczym ogniem, spajającą i twórczą siłą, to tylko ta, która rodzi się z uniesień młodzieńczych. Późniejsza łatwo gaśnie, słabo wiąże i pozostaje bezpłodną.

Życie ustawicznie zmazuje i przekreśla pierwotnie zapisane słowa naszej duszy, ale one przeglądają z pod tych przeróbek, w których jest więcej fałszerstw, niż poprawek.

W młodej piersi naszej mamy tablice świętych przykazań, które czas powoli kruszy lub zaciera i nakleja na nich afisze komedyi, obwieszczenia o licytacyi przekonań i klepsydry zgonu ideałów.

Jedną z najważniejszych różnic między zwierzęciem a człowiekiem jest to, że zwierzę, jak człowiek, czuje rozkosz młodości, ale nie czuje, jak on, smutku starości.

Głównym też wysiłkiem naszym są zabiegi, ażeby nasza młodość w starości nie zgniła i nie spróchniała.

Żadnych kwiatów nie przechowujemy staranniej, żadna woń nie jest dla nas przyjemniejszą, niż te kwiaty i ta woń, które wydała wiosna naszego życia.

Jeżeli człowiek często rodzi się podobny do Boga, to jeszcze częściej umiera podobny do dyabła. Ale zwykle brzydzi się tą przemianą i ostatnim ruchem chciałby zerwać szatańską maskę, która mu do twarzy przyrosła. W tym ruchu wyraża się jego szczery żal za grzechy.

Czyż każdy przed wejściem w świat dostaje ów cenny skarb, który jest największem naszem bogactwem aż do grobu? Niewątpliwie wiana te bywają bardzo różnej wielkości i ceny. Ale każdy je dostaje bodaj w drobnej cząstce. Gdy mu go odmówią ludzie, da niezmiernie troskliwa o swe dzieci natura.

Jednakże skoro dobrodziejstwa młodości zachowują taki wpływ i wartość w całem życiu człowieka, czyż one nie powinny być możliwie najszlachetniejsze i najobfitsze?

I oto udręczona tem pytaniem staje przed nami dojrzała nędza ludzka, która ze swej młodości wyniosła zaledwie drobną kruszynę dobra i skarży się.

Czy ja jestem winna przed sobą mojego upodlenia, a przed społeczeństwem moich występków, jeśli na wędrówkę życia nie dano mi prawie żadnych talizmanów ubezpieczających od upadku? Wychowywała mnie ziemia, las, woda, słońce, którym zawdzięczam nieco trwałych wrażeń, ale ludzie nie dali mi nic. Nie zaznałam we wczesnych dobach mojego życia ani jednego z tych uczuć, z tych wzruszeń, które rodzą się pod serdeczną opieką i w przyjaznych warunkach. Znęcało się nade mną okrucieństwo, gryzła mnie bieda, nurtowały choroby, na moją wiosnę padał ciągle śnieg, ścinały ją mrozy lub chłostały szarugi. Wyniosłam z niej duszę moją jako naczynie stłuczone, brudne, puste, na którego dnie osiadło trochę kryształków trucizny. A potem życie napełniało ją tylko wstrętną mieszaniną egoizmu, przymusu, zawiści, dzikich żądz i ohydnych zadowoleń. Gdy człowiek uczuje się moralnie chorym, sięga wspomnieniem do swojej młodości i z jej zdroju pije uzdrawiającą wodę. Ja takiego czystego źródła nie miałam— tylko mętną kałużę. Czem się odradzać?

Nićmi tej skargi szyte są wszystkie historye wyrzutków i przestępców. Zawsze ich młodość była biedna, cierpiąca, poniewierana, sieroca i ogołocona z wszelkich uroków. W niej przygotowywał się zły grunt, a złe nasiona padły weń potem. O ile dziedziczne zwyrodnienie nie zobojętniło dobrych wpływów, to zawsze zbrodnia przyczepia się do natur z nierozwiniętą, zwiędłą, sparaliżowaną młodością. Tylko z jej kwiatów zbiera owoce wiek dojrzały. Ta, która nie kwitła, pozostaje bezpłodną lub dziką.

Gdyby młodzież, która nie zerwała się jeszcze do samodzielnego lotu i przygotowywa się do niego pod skrzydłami wychowawców, mogła wiedzieć i przewidywać, jak dalece przyszła jej wartość i losy zależne będą od zasobów w tym okresie życia nagromadzonych, podniosłaby ona błagalny krzyk, ażeby jej nie skąpiono idealnych wzruszeń i nie pozbawiano pokrzepiających wrażeń. Prosiłaby ona starsze pokolenie o miłosierdzie nad swojem późniejszem życiem, które wobec pokus, walk i niedostatków nie ostoi się bez sił, zrodzonych w młodości. A gdybyśmy my mogli i chcieli zrozumieć ten nierozerwalny związek, zlitowalibyśmy się nad nią i zaopatrzylibyśmy ją we wszelkie warunki, jakie sprzyjają jej pełnemu rozwojowi.

Niestety, jest to marzenie! Szczęście ludzkie długo jeszcze zakreślać będzie swe koła małym, a nieszczęście wielkim promieniem. Długo ludzie w chwilach osłabienia daremnie przywoływać będą na pomoc dobre duchy ze swej przeszłości, jeśli ona była pusta lub smutna. Jednostki obchodzić będą ciągle zmartwychwstanie młodości, tysiące nie odwalą nawet kamienia z jej zatęchłego grobu. A chociażby najbardziej cierpiał, nie jest jeszcze męczennikiem ten, kto z poetą zawołać może do życia: „Wróć mi moją młodość,“ lecz dopiero ten, który nigdy się tak nie odzywa.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ROZWÓJ EKONOMICZNY EUROPY

PRZED POWSTANIEM GOSPODARSTWA KAPITALISTYCZNEGO.

Pan M. M. Kowalewskij nie tylko w Rosyi, ale w całym świecie naukowym zajął pierwszorzędne miejsce, jako samodzielny i głęboki badacz na polu socyologii. Wszystkie jego wykłady profesorskie, począwszy od uniwersytetu w Moskwie, a skończywszy na uniwersytetach w Stockholmie, Bruxelli i obecne jego lekcye w Paryżu, oraz każda praca drukowana, świadczą zarówno o wiedzy olbrzymiej autora, jak o samodzielności i głębokości jego badań. Zalety te uwidocznia szczególniej jego praca najnowsza, rysująca w sposób aż nadto może szczegółowy, lecz wybitnie źródłowy genezę, naturę i rozkład średniowiecznego gospodarstwa rolnego. *) Można nie we wszystkiem zgadzać się się z autorem, co do jego stanowiska ogólnego w socyologii; można nie zgadzać się z nim w szczegółach, tyczących się pierwotnego ustroju agrarnego rozmaitych krajów i ludów, jak to czynią sprawozdawcy bardziej fachowi i badacze samodzielni tych kwestyj zagranicą—ale uznać należy, i wszyscy uznają, wielką wartość naukową tej pracy.

Kowalewskij dowodzi przedewszystkiem i wykazuje istnienie żywiołów rzymskich i germańskich w ustroju rolnego władania dworskiego i gminy wiejskiej średnich wieków; następnie opisuje, jak przyczyny ekonomiczne spowodowały feodalizacyę własności nieruchomej. Dotyka w ten sposób najbardziej spornych kwestyj, tyczących się zwłaszcza bytu gospodarczego Germanów z epok i Cezara i Tacyta. Obok pisarzy, mówiących o państwie niemieckiem z czasów Tacyta, a nawet Cezara, są tacy, co przeczą istnieniu jakiejkolwiek stałej władzy publicznej Germanów ówczesnych. Gdy Sybel mówi o ich bycie rodowym, Waitz uważa go za wspólno-gminny, a Denman Ross — za feodalny; Gansen i Roscher obok gospodarstwa karczunkowego, przypisują Germanom peryodyczne podziały ziemi. Fustel de Coulanges gotów widzieć u nich własność prywatną. Moeser w wieku XVIII, jak Inama Sterneg obecnie nie przyznawali istnienia gromadzkich siół u Germanów, utrzymując, że osiedlali się dworami po jednym. Maurer przeciwnie nie uznawał, aby Germanie żyli dworami oddzielnymi, niezwiązanymi węzłami wspólności. Przewaga gospodarstwa pierwotnego czy rolnictwa, koczowniczy czy osiadły charakter rolnictwa, swoboda czy zależność pańszczyźniana rolników, wspólne wyzyskiwanie ziemi czy podzielne jej użytkowanie — kwestye te dotychczas stanowią przedmiot gorących sporów, a wszystkie te teorye sprzeczne powstały na gruncie rozmaitych tłomaczeń jednych i tych samych świadectw—Cezara i Tacyta. P. Kowalewskij jednakże, tak samo jak w dawniejszej swej pracy o „Prawie pierwotnem,“ stoi na stanowisku, że ziemią władają *gentes et cognationes hominum* Cezara, czyli rady i wspólnoty rodzinne.

W ogromnej masie szczegółów źródłowych i analogij historyczno - etnograficznych gubi się nieraz wątek myśli głównej, i nie byłoby łatwo poznać stanowisko autora w kwestyach rozmaitych, gdyby nie wstęp, w którym Kowalewskij kreśli w zarysach ogólnych rozwój Europy od gospodarstwa pierwotnego do kapitalizmu. W labiryncie niejasnych świadectw historycznych, w stawianiu hypotez służy mu za przewodnika jego teorya ogólna, na mocy której nie większa lub mniejsza obfitość ziemi niezajętej, jak sądzi prof. Loria w swojej *Genesi della proprieta capitalista*, lecz większa lub mniejsza gęstość zaludnienia stanowi przedewszystkiem o wyborze form wytwórczości, o rozmiarach i sposobach faktycznego władania ziemią a wreszcie — o charakterze stosunków społecznych. Teoryi tej możnaby zrobić zarzut, że nie objaśnia wcale, dlaczego dana forma gospodarstwa trwa wieki, tysiąco-

*) „Ekonomiczeskij rost Jewropy do wozniknowienia kapitalisticzeskawo choziajstwa.“ Tom I-szy. Wydanie Sołdasienkowa, Moskwa 1898 r. str. XXXII i 706. Po niemiecku tom ten ukazał się w roku zeszłym.

lecia i nie przechodzi w nową formę, pomimo że ludność mogłaby się podwoić, potroić itd., innemi słowy, dlaczego ludność się mnoży zawsze, gdy formy gospodarstwa społecznego nie ulegają zmianom, lub mnoży się tylko wtedy, kiedy istnieje już możność zmiany tych form. Zdaje się przecież jasnem na pierwszy rzut oka, iż naprzód musi istnieć możność zmiany form gospodarstwa, ich rozwój, umożliwiający rozwój zaludnienia. Jeżeli jednak teoryę tę uznamy nawet za niesłuszną w tem znaczeniu ogólno-metodycznem, jakie jej nadaje Kowalewskij, to nie można zaprzeczyć, że gęstość zaludnienia jest nietylko sama przez się nader doniosłym czynnikiem rozwoju społecznego, lecz w badaniach stanowić może bardzo ważny środek metodyczny, który Kowalewskiemu rzeczywiście oddaje pewną usługę. Jak wyglądał tedy rozwój Europy przedkapitalistycznej?

Etnografia porównawcza wykazała, że w polowaniu na większego zwierza u ludów pierwotnych biorą udział nie jednostki, lecz całe gromady. A ponieważ mięso ulega zepsuciu, więc nietylko zdobywanie środków utrzymania, lecz i spożycie jest komunistyczne. W tych warunkach życia myśliwskiego i rybackiego niema również danych do powstania nierówności stanów, przynajmniej do czasu, gdy zwiększona gęstość zaludnienia nie zmusi plemienia myśliwskiego do napadu na terytoryum sąsiadów w celu zawładnięcia niem przez wymordowanie jego mieszkańców lub zmuszanie ich do danin. W każdym razie niema tu mowy o indywidualnem zawładnięciu ziemi. Przejście do życia pasterskiego, spowodowane niemożnością zapewnienia rozmnożonej ludności bytu samem myśliwstwem i rybołówstwem, jest już związane z pewną zmianą w formie wytwórczości i spożycia, a więc i w formie władania i stosunków społecznych. Jeżeli plemię myśliwskie wymaga dla swych łowów pewnej przestrzeni terytoryalnej, to dla pastuchów jest rzeczą ważną aby do terytoryum, przeznaczonego dla ich stad, nie wtargnęli obcy. Terytoryum to jest mniejsze, aniżeli w życiu myśliwskiem i dlatego wzrost ludności pasterskiej wywołuje szukanie nowych pastwisk dla większej liczby bydła. Pastwiska te mogą być zdobyte siłą, przez wojnę, lecz także w sposób pokojowy, przez oddanie bydła na przekarmienie sąsiednim rodzinom i rodom bardziej bogatym w pastwiska. Przykłady tego widzimy jeszcze dziś na Kaukazie. W tych warunkach wytwarzają się nietylko stosunki panowania i niewolnictwa (w razie zdobycia pastwisk drogą wojny), lecz stosunki klientów i patronatu; mogą się znajdować nietylko osoby pojedyncze, jak Jakób w stosunku do Labana, lecz i całe plemiona, biorące na przekarmienie bydło silniejszych sąsiadów wzamian za obronę. To też filolodzy mają racyę, wywodząc termin feod od słowa *Ve* (*Vieh*—bydło) i wskazując związek, w jakim znajduje się pochodzenie panowania feodalnego z władaniem stadami.

Życie pasterskie i myśliwskie, z powodu wzrostu ludności prowadzi do rolnictwa, które z początku jest tylko dodatkiem do pierwszych dwóch, poczem staje się zajęciem coraz ważniejszem. Tryumf rolnictwa oznacza przejście do zupełnie nowych form spożycia i stosunków społecznych. Przewrót ten dokonywa się oczywiście nie odrazu. Weźmy np. najbardziej ekstensywny system rolnictwa, jak karczunkowy, istniejący jeszcze na Syberyi lub stepach kozackich: przy systemie tym chłop-rolnik nie zna innych granic swego władania faktycznego, jak te, które kreśli jego topór i socha, z tem wszakże zastrzeżeniem, że karczunek nie może przekroczyć granicy wspólnoty włościańskiej, której dany posiadacz jest członkiem. Przy zupełnem zapanowaniu stosunków rolniczych, wytwórczość i spożycie tracą coraz bardziej charakter komunizmu pierwotnego i niezależności jednostki od jednostki. Rolnictwo wymaga większego związku wytwórcy z ziemią, aniżeli myśliwstwo lub pasterstwo. Z początku i w okresie rolnictwa, dzięki mniejszej gęstości zaludnienia, możliwa jest zmiana miejsca, jak u Germanów za czasów Tacyta. Lecz ze wzrostem zaludnienia, coroczne zajęcie innego kawałka ziemi przechodzi w coraz dłuższy przeciąg czasu. Ta sama przyczyna powoduje przejście do gospodarstwa dwupolowego, następnie do trzypolowego, wreszcie—do wielopolowego: związek rolnika z ziemią staje się stałym. To znaczy, że jeden i ten sam kawałek ziemi wymaga odtąd ciągłych starań i pracy jego. Stąd wynika, jeżeli nie własność prywatna, to przynajmniej prywatne władanie przy własności gminnej lub rodowej. Wspólne przyswajanie gminne lub rodowe, wykluczające *jus primi occupantis*, nie wyklucza jednak tego, żeby faktyczne użytkowanie pól było w rękach obcoplemieńców, znajdujących się w stosunku zawisłości wskutek przemocy lub dobrowolnej umowy. Od tej chwili celem wojny jest nietylko rozszerzenie terytoryum myśliwskiego lub pastwisk, lecz zdobycie ludzi do pracy na roli. Stąd *servi rustici* starożytnego Rzymu, Gallów Cezara i Germanów Tacyta, tj. niewolnicy, umieszczani w obrębie wspólnoty rodowej i skierowani do pracy rolnej. Istnienie niewolników nie wyklucza wcale jednoczesnego istnienia wspólnej własności rodów i ściślejszych związków wiejskich. Prócz wojny, potrzeba roli i narzędzi pracy skłaniała odszczepieńców innych rodów do zamiany swej niezależności osobistej na pracę zabezpieczoną w niewolnictwie. Stąd źródło owego dobrowolnego poddaństwa, którego przykłady daje historya Rzymu, Gallii, starożytnej Germanii, Irlandyi i Rosyi.

W pierwszym okresie panowania rolnictwa, wymiana handlowa odgrywa rolę bardzo podrzędną, cechą zabiegów gospodarczych jest staranie o dom i spożycie domowe. Jest to ów stopień rozwoju ekonomicznego, na którym znajdowały się ludy Grecyi w epoce wojny trojańskiej i, w słabszym stopniu, w przededniu wojen perskich; który przeszli Rzymianie w epoce królów i na początku republiki, lub Germanie przed ich osiedleniem się w granicach cesarstwa rzymskiego; stan ten trwał długi czas, prawie do VIII wieku, śród klanów Szkocyi północnej. Na tym stopniu stali Irlandczycy, dopóki Elżbieta i Cromwell nie zbliżyli ich przemocą do kultury angielskiej. Stan ten ożył znowu w społeczeństwie feodalnem, w chwili nieudanego odrodzenia cesarstwa rzymskiego, przedsięwziętego przez Karola Wielkiego, i utrzymał się w Moskwie do czasu, kiedy odkrycia Anglików i wrogie zetknięcie się z Litwą i Polską nie stworzyły korzystnych warunków dla zbytu surowych materyałów rosyjskich za granicą. Zresztą, w głuchych zakątkach Rosyi, ten sam stopień samoistnego gospodarstwa ocalał jeszcze na długo, podtrzymywany darmową pracą chłopów i brakiem dróg komunikacyjnych. Na tym stopniu gospodarstwa wartość zamienna nie jest jeszcze odróżniana od wartości użytkowej i wzrost kapitałów wstrzymany jest przez to, że gromadzenie zapasów na czas dłuższy, ze względu na ich psucie się, jest niekorzystne. Kredyt nie istnieje, podział produktów odbywa się wyłącznie między dwiema klasami ludności: właścicielami rolnymi oraz robotnikami, opłacanymi kawałkami roli. W takiem położeniu byli osiadli na ziemi rzymskich właścicieli *servi rustici* i colony II i III wieku, oraz servi i villani wieków średnich na Zachodzie i w Rosyi, gdzie wzamian za pańszczyznę i daniny naturalne otrzymują korzystanie dziedziczne z udzielonej im ziemi. Zmniejsza się różnica między niewolą i pańszczyzną, chłopi starej Moskwy przechodzą do szeregów pańszczyźnianych, przykutych do ziemi, na równi z zadłużonymi wolnymi obywatelami, a coloni rzymscy, zmięszawszy się z niewolnikami i drobnymi właścicielami allodialnymi, napełnili szeregi villanów średniowiecznych.

Właściwość charakterystyczną gospodarstwa dworskiego stanowi jego większa lub mniejsza niezależność ekonomiczna: produkty gospodarstwa przeznaczone są prawie zupełnie na spożycie miejscowe, lecz nie na wymianę, bez względu na to, czy klasę właścicieli stanowi nierozdzielna wspólnota rodowa i gminna, wyzyskująca pracę zniewolonych członków obcego plemienia, czy ludzie prywatni. Każde takie gospodarstwo jest całością samą w sobie, samoistną i niezależną od drugich gospodarstw.

Jest to t. zw. gospodarstwo naturalne, któremu koniec położyło w czasach starożytnych wcielenie całego świata cywilizowanego w granicę „orbis romanus,“ które jednak ożyło nanowo wskutek najazdu barbarzyńców i nieudanej próby Karola W. wskrzeszenia cesarstwa rzymskiego. Charakterystyce tego gospodarstwa naturalnego w formie gospodarstwa dworskiego, poświęcona jest praca Kowalewskiego, który bada kolejno wszystkie żywioły, jakie złożyły się na jego powstanie, rysy charakterystyczne i te przyczyny wewnętrzne, które wywołały jego proces rozkładowy.

A. J. Warski

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wł. St. Reymont: *Przed świtem — Pewnego dnia — Sprawiedliwie.* — Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Panna Mery*, powieść. — Jan Grzegorzewski: *Z pod nieba wschodniego*, nowele i fragmenty z podróży.

Po kilku latach milczenia ozwała się znowu twórczość Reymonta. I dodać należy, iż dźwięk to nie mniej donośny i nie mniej czysty, jak dawniej, a nawet czyściejszy. Zdaje się, iż talent twórcy „Ziemi obiecanej“ wstępuje obecnie w dobę dojrzałości: skupił się w sobie, wzmógł na siłach, wyzbył dawnej maniery chwytania i utrwalania wszystkich wrażeń, które podpadły pod zmysły, rozpraszania się na szczegóły i szczególiki, same przez się bezsprzecznie ciekawe, ale wiążące się w taką jedynie całość artystyczną, jak paciorki różnej wielkości, barwy i połysku, nanizane na nitkę.

Zwłaszcza da się to powiedzieć o najobszerniejszym z utworów, zamieszczonych w ostatnim zbiorze Reymonta, p. t. „Sprawiedliwie.“ Bohater opowiadania, ludzie, wypadki, epizody, tło, obrazy natury — wszystko jest tu znakomicie dostrojone i zespolone w całość artystyczną. Młody chłopak wiejski, Jasiek Winciorek, dostał się do więzienia, bo uderzył widłami rządcę, który mu dziewuchę wlókł ze sobą do stodoły. Dwa lata przesiedział, ale trzeciego nie mógł wytrzymać — i uciekł. I opowiadanie zaczyna się z chwilą, kiedy Jasiek zziębnięty, zgłodniały, upadający ze znużenia, w noc „pełną deszczów, zimna i wichrów,“ szuka schroniska w karczmie; spotyka tu chłopów, udających się do Brazylii i posila się z garnka, do którego zaprasza go uprzejmie jakaś para dziadowska. A podczas noclegu schwytany przez

strażników, wyrywa się im z rąk i ucieka w las, ścigany kulą jednego z nich; wreszcie wyczerpany ucieczką i upływem krwi z rany, dowleka się do matczynego obejścia i pada bez zmysłów na progu chaty. Teraz zaczyna się właściwy dramat: ta nieszczęśliwa matka, która już kiedyś męża straciła w sposób tragiczny, ukrywa trwożnie syna, póki się da, w chałupie, a jak się ludzie zwiedzieli — gdzieś w dole kartoflanym za wsią, wśród tysiąca lęków, niepokojów, pogróżek, ambicyj i nienawiści ludzkich; a całą tę mękę osładza tylko czasem dobre słowo wszakże nie od posesyonatów wioskowych, lecz od bezdomnych nędzarzy: żebrak, żyd-szmaciarz, dziewka, komornica. A psychologia tych wszystkich postaci wiejskich tak wymowna, tak głęboka, z właściwym Reymontowi realizmem pojęta, nie tym jednak realizmem, który lubuje się w śmieciach, lecz tym, który i wśród śmieci umie odnaleźć perły.

Ale najprzedziwniej odtworzył tu Reymont duszę chłopską w Jaśku i jego matce. Dusza to na rozdrożu między zwątpieniem a buntem: wątpi, czy *sprawiedliwie* stało się, iż chłopaka ukarano tak surowo i wyjęto z pod prawa, iż jak zwierz dziki kryć się i uciekać musi. Bunt bierze przewagę i w chwili, gdy chłopi, zebrawszy się w znacznej liczbie, mają Jaśka schwycić, przedziera się on przez ich szeregi i objęty straszną, żywiołową żądzą zemsty, podpala pierwszą z brzegu chałupę. Po chwili wieś cała stoi w płomieniach. Ale teraz to już *sprawiedliwie* dosięga go kara: chłopi chwytają chłopaka raz jeszcze i, rozpaczy i gniewu pełni, wtrącają w płonące domostwo. Tak, ten odwet był w samej rzeczy sprawiedliwy!

Budowa powieści doskonała: epizodów bardzo niewiele, zharmonizowane wybornie z całością, postacie pierwszoplanowe wyraziste, inne bledsze, ale wcale nie banalne, tragizm głęboki, ten tragizm duszy chłopskiej, który nie wyraża się deklamacyą lub pozą, lecz ma coś w sobie z rozhukanego, niszczącego żywiołu.

Innego zgoła doznajemy wrażenia przy czytaniu ostatniej powieści Tetmajera p. t „Panna Mery.“ To coś jakby drobny robaczek, niewidzialny prawie w powodzi światów, oglądany — przez mikroskop. W tem powiększeniu mizerny owad przyjmuje rozmiary potworne: olbrzymie macki, potężne kleszcze, szczęki drapieżne— aż wstręt bierze patrzeć! Takim potworem mikroskopijnym jest bohaterka powieści, panna Mery, córka milionowego bankiera-żyda. „Uczuła dziwną żądzę rzucić się na kogoś, przypaść mu ustami do szyi, ssać z niej krew... Pod nogi!.. Pod nogi?.. Do nóg!! Ha! Na głowie komuś stopę oprzeć, deptać, miażdżyć, czuć siłę swoją!.. Rzucałaby garściami złoto, biłaby po twarzach złotem! Niech te dukaty parzą, jak ogień, tną, jak bicz! A wy wyciągajcie po nie ręce, tłoczcie się, depczcie, bijcie! Ha! Pod nogą mieć!.. Niech się wije, niech jęczy, niech błaga... Demon...“ Czyż nie straszliwe to kleszcze maleńkiego potworka? Albo i to, czyż nie potworne, ohydne macki: „Mnie wszystko wolno, mogę zapłacić... Wszystko do mnie należy!.. wszystko jest dla mnie! Ja tak chcę!“

Posłuchajmy jeszcze panny Mery, kiedy rozmyśla i marzy o swej przyszłości: „I zrobię genialny interes— Mery, ty musisz zrobić karyerę! Pamiętaj! Musisz!..“ Albo posłuchajmy, co obiecuje mężowi swemu, „golemu“ hrabiemu Czorsztyńskiemu po brutalnej z nim sprzeczce: „Lokajowi każę go zrzucić ze schodów. Przecież to jest jej lokaj, nie jego, ona go płaci! Hołysz! Dziad! Golec! Żebrak! Na bruk! Na bruk!.. Zemścić się! zemścić się!.. zemścić się!..“

Wszystkie najbrudniejsze cechy dorobkiewicza, kapitalisty, bankiera i żyda splotły się w jej duszy w jeden okropny kłąb, tem potworniejszy, iż pokryty przecudną urodą odaliski i owiany na dobitkę złego drażniącym zapaszkiem iście wschodniej zmysłowości. Tak! panna czy pani Mery jest wstrętna od pierwszej sceny, kiedy drażni się z muzykiem Strzyżeckim, sama się drażniąc zarazem, aż do ostateczności, kiedy, opuszczona od wszystkich, zamyka się w swoim pałacu i tarza naga po stosach złota i dyamentów, doznając dziwnej, niepojętej dla zwykłych śmiertelników rozkoszy zmysłowej. Ale przy tem wszystkiem Mery jest przedstawiona psychologicznie nader wiernie: z różnorodnych pierwiastków, wchodzących w skład jej charakteru i temperamentu, autor potrafił wytworzyć całość harmonijną psychologicznie i artystycznie.

Owad, tysiąckrotnie pod mikroskopem powiększony, zajmuje całe pole widzenia; to też prócz bohaterki żadna inna postać nie wydobywa się z tła. Jeden wuj Hammerszlag, przepyszna figura bankiera-kapitalisty, nie czynami wszakże (bo w powieści nic nie czyni), lecz niezrównanemi zwięzłością i dobitnością określeniami mądrości życiowej, wysuwa się na plan pierwszy.

P. Grzegorzewski z podróży swej po Mandżuryi, Mongolii, Chinach, Persyi, Azyi Mniejszej, Egipcie wyniósł garść wrażeń, które w formie poprawnej, często obrazowej ujął w szereg nowel i fragmentów z podróży pod ogólnym tytułem: „Z pod nieba wschodniego.“ Nowele mają za tło oczywiście Wschód i najczęściej są literackiem odtworzeniem legend i podań miejscowych, niektóre z fragmentów podróży są ciekawe dzięki, bądź pięknemu odmalowaniu krajobrazów (np. „Na stepach mongolskich“), bądź też dla zawartych w nich cennych szczegółów etnograficznych (np. „Ta Can“). Wogóle zbiorek wywiera dość sympatyczne wrażenie.

H. Galle.

GUSTAW WIED
jako dramaturg.

Jesteśmy omotani gęstą, szarą mgłą złudzeń, odcięci od rzeczywistości tkanką wizyj, przez nas samych rozsnuwanych. A czynimy to z tchórzostwa. Boimy się spojrzeć na dno rzeczy, zajrzeć śmiało w tajniki bytu i dlatego używamy wszelkich możliwych środków, aby się tylko zasłonić. A kiedy nam się zdaje, że gdzieś niespodzianie zobaczymy utkwione w siebie wilcze oczy rzeczywistości, uciekamy z tego miejsca, jak przed dżumą. A cofnąwszy się w sferę pozoru, zasypiamy. Przyrody nie poznajemy, dziwimy się wszelkiemu impulsywnemu działaniu, nienawidzimy szczerości i bezpośredniości.

Aleśmy temu nie winni. Jakaś fatalistyczna siła każe nam się chować pod płaszczyk pozoru. „Im więcej — powiada Nietzsche — dopatruję się w przyrodzie popędów artystycznych i dążności ku wyzwoleniu, tem bardziej czuję się zniewolony przypuszczać, że prawdziwe jestestwo, jako pierwiastek, ulegający wiecznemu cierpieniu, koniecznie potrzebuje wizyi, pozoru, złudy...“

Lecz są jednostki, którym przyroda udzieliła cudownej mocy zdzierania z ludzi i rzeczy tej przesłony. Mistrzem ich, symbolem: bożek leśny Satyr. Ten sam, który wyskoczywszy z dziewiczego lasu, wychowanek pierwotnej, nieskażonej przyrody, nagle ujrzał rzeczywistość nie taką, jaką sobie wyobraził w swych czystych snach, bo dotkniętą złudzeniem i pozorem— zdziwił się niepomiernie tem zjawiskiem i roześmiał na cały głos... A echo roznosiło śmiech Satyra po mgle, zasnuwającej rzeczywistość...

Echo tego śmiechu dotąd nie zamilkło, bo dotąd mgła gęsta przygniata pierwotną, niekłamaną naturę człowieka.

Echo tego śmiechu rozbrzmiewa w dramatach satyrycznych pisarza duńskiego, Gustawa Wieda.

Chciałby on patrzeć na świat, zbadać jego głębie, tworzyć na ich podstawie gmachy syntetyczne; lecz nie może: bo gruba warstwa blagi, kłamstwa spoczywa wszędzie, gdzie tylko okiem spojrzeć. I stąd jego śmiech...

Satyr, wróciwszy w gęstwinę, opowiada swym braciom o doświadczeniu, jakiego nabrał, patrząc na rzekomą rzeczywistość. I powoli znika mu z twarzy wyraz złośliwego zadowolenia, śmiech się gdzieś zapodziewa, a słychać cichy płacz bożka, biadającego nad mgłą „cuchnącą,“ wznoszącą się nad „rzeczą samą w sobie.“

Tu się wszystko zbiega: dramat i tragedya, komedya i pusta farsa, uśmiech „aryostyczny“ i zgrzyt „satyryczny.“

Gustaw Wied opowiada także o swych doświadczeniach. A w opowiadanie jego spływa i zgrzyt, i śmiech, i pogarda, i łza... Jacyście wy kłamliwi! — ciska w twarz współczesnym za każdem pociągnięciem pióra—jak wy się własnego boicie cienia, ba, nawet własnego serca, własnej duszy! Jak kupczycie najświętszemi uczuciami...

Takie rzeczy nie sposób wypowiadać spokojnie, wedle przepisów „estetyki“ i praw artyzmu, dostosować się do wymagań czytelnika, robić z nim kompromisy: powiem ci prawdę, ale leciutko, delikatnie, by cię nie obrazić...

Tego Gustaw Wied nie umie. Gwałci przepisy, gwałci formy, oburza się na czytelnika, razi brutalnością, bezwzględnym cynizmem, rozprasza „spokojną“ atmosferę ducha pana lub panny Wygrzywalskich lub Zapieckich, zdziera niemiłosiernie zasłonę, przykrywającą brudy, jakimi ludzkość przesiąknęła, bez litości podgląda pod parawan, za którym „świat cywilizowany“ wiedzie „na łonie kochającej rodziny“ żywot „obywatelski.“

Ale nie jest to wcale zgryźliwy, skwaszony zrzęda, maniak, siłą przyzwyczajenia narzekający na wszystko dokoła.

Nie, to prawdziwy twórca, który świadom jest potęgi prometejskich lotów, który radby zawołać wraz z goethowskim Prometeuszem:

> Hier sitz' ich, forme Menschen
> Nach meinem Bilde;
> Ein Geschlecht, das mir gleich sei,
> Zu leiden, zu weinen,
> Zu geniessen und zu freuen sich. *)

Cóż, kiedy ta przeklęta, złudnymi pozorami przesiąknięta rzeczywistość paczy wszelki poryw twórczości, wykrzywia twarz do gestu satyrycznego, a pod pióro podsuwa samą gorycz.

I stąd to podścielisko smutku, na jakiem się wznoszą satyry Gustawa Wieda.

Dziwne to skojarzenie: śmiech i łzy poprzewijane, skłębione: Muza Tragedyi i Satyr ręce sobie podali.

W wielkiej sali balowej siedzą dwaj panowie: Jaśnie Wielmożny Pan Łowczy i Jego Ekscelencya Pan Szambelan. J. W. Pani Łowczyni raczyła się przenieść na łono Abrahama... Dziś właśnie rocznica jej śmierci... A że J. E. P. Szambelan był od dawna przyjacielem domu, a specyalnie ś. p. pani domu, więc...

Rocznicę śmierci obchodzi łowczy bardzo uroczyście. Stół odświętnie przybrany, wszystkie lampy pozapalane, obiad składa się z ośmiu dań (co za wzruszający objaw pietyzmu!), z piwnic przyniesiono kilkanaście gatunków wina (tak się czci pamięć zmarłej!), służba w paradnym stroju, pan domu ma na piersi wszystkie ordery. Toasty sypią się jakby z rogu obfitości.

*) Tu siedzę, ludzi na swój obraz tworzę, rodzaj, który ma mi być podobny, cierpieć, płakać, używać i radować się.

Mowę główną wypowiada pan w buduarze ś. p. pani łowczyni. Tam wspomnienia żywiej przystępują do mózgu... Ma je mąż, ma je i J. E. Pan Szambelan... „Znajdujemy się w pokoiku mej żony — obwieszcza uroczyście łowczy. Umarła. Śmierć ją zmiotła zupełnie niespodzianie. Kwitła jeszcze w środę, a w sobotę już zwiędła. Straciłem najwierniejszą towarzyszkę życia (szambelan rumieni się nieznacznie). Proszę pana wychylić ten puhar dla uczczenia pamięci nieboszczki!"

W kilka godzin potem obaj panowie chrapią. Spili się dla uczczenia pamięci nieboszczki.

Cicho... Cień jakiś się przemknął przez komnatę. A u drzwi coś wrzasnęło na całe gardło! Ha, ha! To Satyr opuścił izbę; podsłuchiwał przyczajony...

W miasteczku ruch i podrażnienie umysłów niezwykłe! Tor budującej się właśnie kolei żelaznej ma się otrzeć o mieścinę. Całe obywatelstwo przejęte niepomierną radością, boć przecież z wybudowaniem nowej kolei musi się wznieść poziom handlu i przemysłu. Kwestya tylko: gdzie ma stanąć dworzec kolejowy?.. W środku miasta! —wszyscy jednogłośnie orzekają. Lecz gdzie środek? Po stronie zachodniej, czy wschodniej? Tam króluje bogaty kupiec X, tu wpływowy pan Y. Obaj z całego serca chcieliby mieć dworzec w pobliżu. Obaj używają całego nakładu swych sił na przesunięcie środka miasteczka w swą stronę. Za jednym przemawia *vox populi*—zdawać by się mogło, że to wzgląd najpoważniejszy. Ba! kiedy drugi sprytniejszy: skaptował radę miejską, przekupił tych „z przedpokoi," dał sute śniadanko dla inżeniera powiatowego, komisarza obwodowego i innych znakomitości obwodu...

Cieszcie się, obywatele. Dworzec stanie w samym środku! Tylko że ten środek wytknął pan Y. Środek jest tam, gdzie sobie tego życzy wpływowa jednostka.

A kiedy okolicę przeszyje pierwszy świst lokomotywy, jakaś ciemna postać pomknie chyżo w stronę lasu. To Satyr podąży do swych towarzyszów leśnych, by im opowiedzieć, czego się nauczył między ludźmi...

Na takiem tle wznoszą się dramaty Gustawa Wieda.

A Satyr w dzikich podskokach biegnie od gąszczu do gąszczu i braciom swym nieskazonym t. zw. kulturą, opowiada cuda... a echo śmiechu rozbrzmiewa wszędy... hen... za siódmą górą, za siódmą rzeką...

Komu rumieniec twarz obleje? kto wstydem zapłonie?..

Bertold Merwin.

Z MUZYKI.

Dziewiąta symfonia Beethovena i kilka słów o koncertach w Filharmonii warszawskiej.

Beethoven znalazł natchnienie do swojej najwspanialszej symfonii w odzie do radości Schillera. Ta oda była iskrą, zapalającą twórczość nieśmiertelnego mistrza, a nurtowała go przez lat dwadzieścia kilka. Po upływie tego czasu dopiero symfonia w obecnej swej postaci wykończona została.

Dla niezmiernego bogactwa kombinacyj muzycznych dzieło to jest dotąd dla kompozytorów źródłem, z którego czerpią wzory do swych utworów; wielu parafrazuje wprost urywki z niego. W symfonii radość odzywa się dopiero w części ostatniej, poprzedza ją ból, zwątpienie, tęsknota, które tem żywszą barwę, tem większą wartość nadają radosnemu zakończeniu.

Wykonanie tego filozoficzno-muzycznego dzieła nie odpowiedziało jednak w zupełności oczekiwaniu. Orkiestra Filharmonii przyzwyczaiła nas do dobrego wykonywania poważnych dzieł muzycznych, których każda myśl, każde uczucie zamknięte w dany motyw muzyczny lub kombinacyę głosów instrumentowych wychodziły z odpowiednią wypukłością i jasnością. Tych właśnie przymiotów brakło czasem w wykonaniu symfonii, szczególniej w *Scherzo*. Chóry, którym przypadło w udziale wyrazić tryumf radości, robiły co mogły.

Beethoven nie liczy się nigdy z zakresem i wymogami głosu ludzkiego; trzyma go niekiedy na takich wyżynach, że istotnie wykonawcy litość budzić mogą w słuchaczach. W kwartecie, przodującym chórowi, niefortunnie z temi trudnościami walczyli: Korolewiczówna, Frenklówna i Sienkiewicz; jeden Didur tylko grzmiał swym potężnym głosem. Nie bądźmy jednak zbyt surowi, bo gdziekolwiek udało się nam słyszeć „dziewiątą," wszędzie chóry i kwartet walczyły z zadaniem nad siły, któremu nie sprostałaby może i Tilly Koenen, słynna beethovenistka, pierwszorzędna śpiewaczka estradowa.

Tilly Koenen, Boerka z pochodzenia, raz jeden tylko dała się słyszeć w Warszawie na koncercie filharmonijnym. Nie brzęczały dla niej fanfary wzmianek, krytyka przyjęła ją bez uniesień, chociaż ta śpiewaczka przewyższył wszystkie gwiazdy naszych koncertów prześlicznym, ciepłym głosem, idealnie wyrazistą dykcyą oraz inteligencyą w frazowaniu.

Co prawda, w ubiegłym sezonie słyszeliśmy gwiazdy przeważnie blizkie zachodu: Bellincioni, Barbi, Reisenauer, nawet Sarasatte do słońc gasnących należą.

Programom koncertów filharmonijnych można też zarzucić nierównomierność w wyborze autorów. Piotr Czajkowsi, naprzykład, jest twórcą pierwszorzędnym, lecz w stosunku do innych kazano nam rozkoszować się nim zbyt często.

Na końcu słówko o organmistrzu weneckim, Henryku Bossim. Jako wirtuozowi przyznać mu trzeba wszelkie zalety, prócz smaku. Wiemy, że grą na organach można naśladować dźwięki wszystkich narzędzi muzycznych, świegot wróbli, głosy kukułki, może nawet rechotanie żaby; nie jesteśmy jednak zwolennikami tych sztuczek i bylibyśmy woleli usłyszeć te utwory, których charakter odpowiada wstrząsającej głębi i powadze instrumentu.

Remi.

POEZYE

Opowieść zimowa.

Lubię wieczory burzliwe i słotne,
Kiedy w kominie wicher się rozhula;
Mieszkanie moje dziwnie jest samotne,
Mrok tylko szarym płaszczem je otula.
Czasami duszki odwiedzą mię psotne,
Z za szyb oczkami do głębi zaświecą,
I znowu cicho... myśli lecą, lecą...

Patrzę jak ogień kąsa suche drewna
I jakieś dziwy w duszy mi się marzą;
Przychodzi do mnie zaklęta królewna,
Oczy jej smutne i czegoś się skarżą.
Aniołom smutku musi być pokrewna,
Bo taka blada, jak widzenia owe,
O których dzieci majaczą niezdrowe.

Ktoś ty?wiedziałem, że przyjdziesz, jak w baśni,
Bom stał za tobą myśli lotnych krocie,
Że czar twój życie cudnie mi ukraśni,
W nieutulonej mrącemu tęsknocie,
I że mi będzie zaraz lżej i jaśniej;
Bom tak bezdomny, jak przydrożne drzewa,
Kiedy je wicher targa i ulewa.

Dłoń wypieszczoną połóż mi na czole,
Niech wszystko we mnie się skończy i zaśnie,
Abym był cichy jak to śnieżne pole,
Na którem słońce zachodzące gaśnie.
Twój głos tak koi znużenia i bóle;
Mów mi baśń jakąś dawną, staroświecką,
Będę cię słuchał tak, jak małe dziecko.

Cudowne baśnie! czasem się rozjęknie —
Jak dzwon ma dusza do dziecinnych wierzeń.
Mówisz, że dawniej było dobrze, pięknie,
Więc słucham serca gwałtownych uderzeń
I zdaje mi się, że mi w piersi pęknie
Z tęsknoty jakiejś do tego, co święte,
Co tajemnicze, dziwne, niepojęte.

Mówisz o zamkach z kryształu i tęczy,
Gdzie mieszka wielkie, nieobjęte szczęście;
O wiedźmie Smutku, która duszę dręczy—
Więc tak jak dziecko, w złości ściskam pięście,
O muszkach, w sieci złapanych pajęczej,
O smokach, śpiących pośród leśnych szczelin—
Wszystko to skrzy się, jak w słońcu gobelin.

Cudowne baśnie! coś się w duszy wzbiera,
Jakaś tęsknota za słońcem, za wiosną.
Wszystko co głośne, gaśnie i zamiera
Cicho, jak kiedy wiatry w trawach posną,
A miesiąc kwiatów kielichy otwiera.
Marzę dla siebie przyszłość górną, sławną!
Tamto, to było dawno, bardzo dawno...

Królewno moja! biorę cię! pójdź ze mną.
Wiem, że są rzeczy, które strasznie bolą,
Złych ludzi dużo... tu tak źle, i ciemno...
Pójdziemy razem, hen, za jasną dolą,
W krainę baśni cudowną, tajemną,
W zamki, gdzie wieczór skrzypią kołowrotki
W łąki zaklęte, gdzie są duchy-złotki.

Za łzy, serdeczne, że nam w życia wiośnie
Drogę usłano ciernistą i zmudną,
Za ból, co dusze kąsa bezlitośnie,
Zostawim ludziom wieść o sobie cudną.
Niech w duszach jasnych krzewi się i rośnie,
Niechaj piastunki wiekowe i senne
Prawią ją dzieciom w wieczory jesienne.

Henryk Zbierzchowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Teorya o przesileniach wobec faktów.

„Nie ma żadnych oznak zbliżającego się krachu wszechświatowego nadzwyczajnej gwałtowności, ani też powodów by polepszenie konjunktury uważać za bardzo krótkotrwałe. Powstaje natomiast trzecie pytanie: czy olbrzymie rozszerzenie rynku wszechświatowego w połączeniu z nadzwyczajnem skróceniem czasu dla przesyłania wiadomości i towarów nie przyczynia się do wyrównania zakłóceń? czy ogromnie powiększone bogactwo przemysłowych krajów europejskich w połączeniu z wielką elastycznością urządzeń nowożytnych, kredytowych i rozwój syndykatów nie spowodowały zmniejszenia się siły wpływu zaburzeń miejscowych lub partykularnych na ogólny stan kunjunktury do takiego stopnia, że na czas dłuższy przynajmniej powszechne przesilenia w rodzaju dawniejszych muszą być wogóle uważane za nieprawdopodobne." Tak pisał Edward Bernstein na początku roku 1899 w swej książce *Die Voraussetzungen des Sozialismus*, która zyskała autorowi powszechny poklask śród „poważnych" ekonomistów. W kilka miesięcy później jednakże oznaki zbliżającego się krachu powszechnego były już bardzo wyraźne, a po upływie półtora roku gwałtownością niezwykłą przeraziły świat; dziś mamy w całej Europie przesilenie jakiego dotąd nie bywało, wszystko zaś każe przypuszczać,

że potrwa ono jeszcze bardzo długo. Nie od rzeczy więc będzie, na mocy faktów sprawdzić obecnie działanie czynników, o jakich wspomina Bernstein — który, mówiąc nawiasem, nie jest tu bynajmniej oryginalnym lecz powtarza twierdzenia mieszczańskich popularyzatorów ekonomiki. Chcąc należycie wywiązać się z takiego zadania, trzebaby przytoczyć kolumny cyfr, sprawozdania Izb handlowych i tym podobnych korporacj, wypisywać całe cedułу giełdowe. O tem jednakże nie może tu być mowy, gdyż musielibyśmy takim materyałem dowodowym zapełnić kilkadziesiąt szpalt *Prawdy*, poprzestaniemy więc na ogólnych wnioskach z nagromadzonego materyału surowego.

Najpierw co do „rozszerzenia rynku“: Bernstein polonizuje tu z Engelsem, występuje mianowicie przeciw myślom, wypowiedzianym w uwagach do trzeciego tomu „Kapitału“ Karola Marxa. Marx powiada, że każde regulowanie produkcyi materyałów surowych okazuje się mrzonkę, gdyż wskutek peryodycznych przesileń nieuniknionych, ponieważ powodowanych prawami rozwoju kapitalistycznego, w okresach pomyślnej konjunktury, wstępują na widownię nowe kraje, produkujące dany towar. Tu Engels dodaje: „To było pisane w roku 1865, od tego czasu wzmogła się ogromnie konkurencya na rynku międzynarodowym, wskutek szybkiego rozwoju przemysłu we wszystkich krajach cywilizowanych, zwłaszcza w Ameryce i w Niemczech. Fakt, że, szybko i olbrzymio wzbierajace, siły produkcyjne poczynają przerastać prawa wymiany kapitalistycznej i towarów, w których mają się odbywać- -przenika dziś do świadomości przedsiebiorców kapitalistycznych. Świadczą o tem dwa symptomaty: naprzód—szerząca się mania ceł ochronnych, które tem się różnią od dawnego protekcyonizmu, że właśnie ochraniają towary, najbardziej nadające się do eksportu; powtóre—kartele (trusty), które ograniczają wszystkie przedsiebiorstwa danej gałęzi przemysłu, celem regulowania produkcyi, a tem samem i zysków. Jasnem jest, że takie doświadczenia mogą udawać się tylko przy względnie pomyślnej pogodzie ekonomicznej. Pierwsza burza musi je zwalić i dostarczyć dowodów, że — jakkolwiek produkcya domaga się się regulacyi, napewno nie klasa kapitalistyczna do tego jest powołana. Tymczasem dzięki kartelom, mali, obecnie jeszcze prędzej niż dotad bywało, zostali pożarci przez wielkich.“ (Das Kapital tom III część I str. 97). W innem miejscu Marx powiada: „W tych cyklach przemysłowych, ten sam bieg kołowy wznawia się peryodycznie po pierwszym impulsie. W czasie stagnacyi produkcya spada niżej poziomu, jakiego dosięgła w cyklu poprzedzającym i dla którego został stworzony podkład techniczny. W czasie pomyślnej konjunktury (in der Prosperität) — w okresie średnim—rozwija się dalej na tym podkładzie. W okresie produkcyi i szwindlu siły wytwórcze zostają napięte do maximum, aż do przekroczenia granic kapitalistycznych procesu wytwarzania.“ Tu Engels czyni uwagę: „Od ostatniego kryzysu ogólnego tu nastąpił zwrot. Forma ostra procesu peryodycznego z dotychczasowym cyklem dziesięcioletnim zdaje się przechodzić w więcej chroniczne, bardziej przedłużone, na poszczególne kraje rozkładające się niejednocześnie, następstwo względnie krótkich, mało intensywnych konjunktur pomyślnych z względnie długimi okresami niezdecydowanej stagnacyi. Być może jednak, że chodzi tylko o wydłużenie czasu trwania, w jakim pojawia się cykl. W okresie niemowlęcym handlu międzynarodowego, 1815—47, można wykazać mniej więcej pięcioletnie przesilenia od 1847 do 1867, cykl trwa jawnie lat dziesięć. A może obecnie znajdujemy się w okresie przygotowawczym krachu wszechświatowego niebywałej gwałtowności? Niektóre zjawiska zdają się świadczyć o tem. Od ostatniego powszechnego przesilenia w roku 1867 nastąpiły wielkie zmiany. Olbrzymi wzrost środków komunikacyi — żegluga morska, koleje żelazne, telegrafy, kanał Sueski — spowodował powstanie właściwego dopiero rynku wszechświatowego. Podczas gdy dawniej Anglia monopolizowała przemysł, obecnie obok niej stanęli potężni współzawodnicy; dla zbywających w Europie kapitałów otwarły się we wszystkich częściach świata nieskończenie większe i różnorodniejsze pomieszczenia, wskutek czego te kapitały więcej się dyslokują, co sprawia, że nadmierna spekulacya miejscowa łatwiej zostaje zniesioną, a tem samem większa część dawnych ognisk przesileń i sposobności wybuchu zostaje usuniętą, lub sparaliżowaną. Prócz tego konkurencya na rynku wewnętrznym zmniejsza się wskutek karteli i trustów, podczas gdy na rynku zewnętrznym zostaje skrępowaną przez cła, jakiemi otaczają się wszystkie większe kraje przemysłowe, prócz Anglii. Jednakże te cła ochronne nie są niczem innem, jak zbrojeniem się do przyszłej, ogólnej walki przemysłowej, która ma rozstrzygnąć o panowaniu nad rynkiem świata. W ten sposób każdy z czynników, który przeciwdziała powtórzeniu przesileń dawnych, mieści w sobie zarodek daleko potężniejszego przesilenia w przyszłości.“

Że obszar rynku wszechświatowego i obroty handlowe na nim zwłaszcza w ostatnich czasach wzrastały w tempie nadzwyczaj szybkiem, o tem niema wątpliwości. Znany statystyk Juraschek oblicza wartość handlu zewnętrznego (sumę wywozu i przywozu) wszystkich krajów świata w pięcioleciu 1886—90 na 64,703 mil. marek, w r. zaś 1898 — 80,850 mil. m. Ten wzrost jest w znacznej części spowodowany rozwojem wielkoprzemysłowej produkcyi kapitalistycznej w krajach dotąd przeważnie rolniczych; tak np. handel zewnętrzny Rosyi (tylko przez granice europejskie) wzrósł (zatrzymujemy wszędzie dla łatwiejszego porównania liczby w walucie niemieckiej) z 2,020 do 2,760 milionów marek, handel Stanów Zjednoczonych z 6,140 na 7,849 milionów; oraz rozwojem kapitalistycznym krajów dotąd niekulturalnych, jak Indye, Japonia, Afryka południowa. Jeżeli teraz spojrzymy na przebieg konjunktury na tych właśnie rynkach, to wprost spostrzemy, że przesilenie tu najpierw zaczęło się przejawiać.

(D. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

NA MARGINESIE.

Wyrok. Prezesem sądu w Chateau-Thierry jest Magnaud, sławny we Francyi ze swych rozumnych i humanitarnych wyroków. Obecnie gazety ogłaszają następujący jego wyrok w sprawie pewnego nędzarza, oskarżonego o włóczęgostwo i żebraninę—wykroczenia we Francyi surowo karane.

Co do włóczęgostwa:

„Zważywszy, że brak mieszkania i środków do życia, świadczy o stanie nędzy, który wprawidzie dla podsądnego jest bardzo przykry i bolesny, ale bynajmniej nie dowodzi niemoralnego charakteru, że podobnie rzecz się ma z pożałowania godnym faktem braku pracy, nawet jeśli on jest własnowolnym, gdyż w takim razie dla dogodzenia sprawiedliwości należałoby postawić przed sądem wszystkich tych ludzi bogatych, którzy nie pracują; że istotnie społeczeństwo, prześladując pozbawionych zajęcia, mieszkania i środków do życia, wytacza im proces tendencyjny, polegający na tem, że ono tych, którzy nic nie posiadają uznaje bez ceremonii za skłonnych do zabrania własności innych; że sędzia, dbały o sprawiedliwość, nie może człowieka, który nie obraził moralności, skazywać pod pozorem, że żądza mogłaby go popchnąć do wykroczenia przeciwko prawu; że to opłakane położenie, gdyby było dobrowolnem, możnaby co najwyżej uważać za okoliczność obciążającą dla innych czynów przeciwnych prawu, które musiałyby być spełnione; że zresztą oskarżony oświadcza, iż od miesiąca nie mógł znaleźć zajęcia a na podstawie zasadnych teoryj prawnych, byłoby obowiązkiem prokuratora złożyć dowód przeczący temu zeznaniu; że prokurator tego wyroku nie dostarczył; że przeto brak pracy, którego podsądny nie mógł uniknąć, nie powinien być karany.“

Co do żebraniny:

„Zważywszy, że podsądny bez zajęcia, dachu, i środków do życia, prosił i otrzymał od p. L. w C. kawałek chleba; że to odwołanie się do solidarności ludzkiej nie przedstawia aktu niemoralnego i że nie mogło być zamiarem prawodawcy uznawać go za przestępstwo żebractwa; że to przestępstwo ma miejsce tylko wówczas, jeśli prośba o pomoc pochodzi od zawodowego pasorzyta dobroczynności publicznej lub gdy jej towarzyszą wymysły, pogróżki i gwałty; że żądanie i przyjęcie kawałka chleba, będącego przedmiotem najniezbędniejszej potrzeby, wyłącza bezwzględnie okoliczności, warunkujące winę; że nadto w odnośnym departamencie nie ma wcale zakładu, mogącego skutecznie przeciwdziałać żebractwu; że pod tym względem społeczeństwo, zarówno w tym wypadku, jak w wielu innych, nie spełnia obowiązku, który samo sobie nałożyło, tak że jeśli nawet na chwilę przyjmiemy jurisprudencyę dotyczącą tej sprawy, nie znajdziemy żadnego wykroczenia przeciw przepisom żebractwa ze strony oskarżonego; zważywszy nakoniec, że od 3 lat wskutek poprzednich wyroków tego sądu co do zwykłego włóczęgostwa i prostej żebraniny, a także wskutek okólnika ministeryalnego z 2 maja 1899 r., spowodowanego owymi wyrokami, nie przedsiewzięto żadnego w tym przedmiocie dochodzenia, mogącego skłonić sąd do zaniedbania swej ludzkiej i szlachetnej jurisprudencyi; dalej, że ten pogląd dał tylko dobre wyniki w tutejszym okręgu sądowym, gdzie od tego czasu ani razu spokój nie został zakłócony przez tych, których prawo uważa za zwykłych włóczęgów i żebraków, tak że sąd mocniej niż kiedykolwiek może zachować to stanowisko, pozostawiając innym wyrokować inaczej w podobnych okolicznościach, jeśli tak im nakazuje ich sumienie.

Z tych zasad sąd uznaje oskarżonego niewinnym.“

Dzienniki przepowiadają, że zarówno ten, jak i inne wyroki Magnauda, staną się niewątpliwie pobudką do zmian we francuskim kodeksie karnym.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych przypomina rozporządzenie, nakazujące osobom wyznania nieprawosławnego przy wstępowaniu na służbę państwową i do wojska składać przysięgę w języku rosyjskim.

— Izba deputowanych uchwaliła ustawę o zniesieniu wszelkich domów gry w Belgii. Naruszenie przepisów ustawy karane będzie grzywną do 15,000 fr. i więzieniem do roku. Recydywa pociąga za sobą karę podwójną i utracenie praw obywatelskich.

— Towarzystwo pomocy naukowej dla Śląska Cieszyńskiego ogłosiło sprawozdanie za rok ubiegły, które wykazuje, że dochód zeszłoroczny wynosił 2,592 koron (o 1,249 k. więcej, niż w roku poprzednim), rozchód 1,515 koron. Zapomóg udzielono 35 uczniom w sumie 1,350 koron. Majątek Towarzystwa podniósł się o 916 k. i doszedł w końcu roku sprawozdawczego do wysokości 35,733 koron. Członków Towarzy-

stwu przybyło 55, ubyło zaś 30. Liczba członków w końcu roku wynosiła 445,275 zwyczajnych i 170 wieczystych.

Szkoły. Ministeryum oświaty zawiadomiło okręgi naukowe, że dotychczas nie istnieje ograniczenie procentowe w przyjmowaniu uczennic pochodzenia żydowskiego do średnich zakładów naukowych; sprawę tę rozpatrywać będzie komisya, wyznaczona do reorganizacyi średniej szkoły żeńskiej.

Ruch kobiecy. Sekcya literacko-naukowa przy „Czytelni dla kobiet“ w Krakowie postanowiła uczcić pamięć Sewera-Maciejowskiego przez założenie w Dołędze czytelni jego imienia.

— Kanclerz państwa niemieckiego przyjmował w zeszłym miesiącu deputacyę kobiet, domagających się praw wyborczych. Panna Anita Augspurg wręczyła kanclerzowi adres, zawierający, imieniem kobiet niemieckich, prośbę o ustanowienie prawa, znoszącego ograniczenia wyborcze dla kobiet we wszystkich państwach niemieckich. Nadto adres domaga się równouprawnienia kobiet co do imatrykulacyi w uniwersytetach. Hr. Bülow przyrzekł deputacyi, iż przedstawi radzie związkowej i parlamentowi całą sprawę w świetle pomyślnem i zajmie się nią poważnie.

Hakata. Z kopalń westfalskich w Essen, wydalono 640 górników pochodzenia słowiańskiego.

— *Dziennik Poznański* pomieścił charakterystyczny dokument urzędowy z prześladowań pruskich ludu polskiego w Poznańskiem. Landrat z Pleszewa przysłał p. Szczepańskiemu, sołtysowi z Bomcina, następujące ostrzeżenie: „Na wybory posła do sejmu prowincyonalnego z gmin wiejskich w Środzie przybyłeś pan w sukmanie (Schnürrok), podwijanych spodniach (Pluderhose) i w palonych butach, wywołując tem oburzenie publiczne. Rzecz to tem bardziej niesłychana, ponieważ pan, jako przełożony gminy, powinieneś był wiedzieć, że taki strój panu nie przystoi. Usprawiedliwienie pańskie (u komisarza obwodowego) nie może być uważane za uzasadnione. Udzielam panu przeto z powodu niesłychanego zachowanie się surowej nagany, a tylko ze względu na to, że pan dotychczas nienagannie pełniłeś obowiązki urzędowe, odstępuję od surowych środków. Zakazuję jednak panu wyraźnie noszenia wzmiankowanego stroju wszędzie, gdzie pan występujesz w charakterze sołtysa. W razie, gdybyś pan tego zakazu nie usłuchał, będę zniewolony postarać się w drodze dyscyplinarnej o usunięcie pana z urzędu.“

Przeciw niemczyznie. Na posiedzeniu Towarzystwa słowiańskiego w Moskwie, ze względu na ostatnie wydarzenia w Poznańskiem, postanowiono jednogłośnie, za przykładem Czechów i Polaków, bojkotować wszystkie towary i przedmioty handlu, pochodzące z Niemiec.

Unieważnienie. *Prawit. Wiest.* zamieścił: Cesarska Akademia nauk, ze względu na okoliczności, które nie były znane połączonemu zebraniu wydziału języka rosyjskiego i literatury i oddziału literatury pięknej w Cesarskiej Akademii nauk, ogłasza za nieważny wybór na akademika honorowego Aleksego Pieszkowa (pseudonim Maksym Gorkij), pociągniętego do śledztwa z art. 1035 ust. kar.

Ofiara. Ministeryum oświaty zatwierdziło zapis Adama Śmiglewskiego, wynoszący 126,500 rb., na rzecz warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, jako kapitał żelazny, od którego procenty używane będą na utrzymanie wychowańców tegoż Instytutu, wyznania rzymsko-katolickiego.

Konkursy. Warszawskie Towarzystwo artystyczne ogłosiło konkurs na meble w stylu swojskim do pokojów: jadalnego, sypialnego, bawialnego i gabinetu. Nagrody: za projekt pokoju jadalnego 300 rb., sypialnego, bawialnego i gabinetu — po 200 rb. Termin nadsyłania prac oznaczono na d. 15 czerwca r. b. Szczegółów udziela kancelarya Towarzystwa.

Zdrowie publiczne. *Siew.-Zap. Słowo* donosi, że sprawa zniesienia przywileju aptekarskiego w Rosyi nie uzyskała poparcia władzy. Natomiast nowa ustawa aptekarska przeszła już przez wszystkie instancye prawodawcze i wkrótce uzyska moc obowiązującą. Według ustawy tej właścicielami aptek będą tylko osoby z kwalifikacyą naukową, mianowicie magistrowie i prowizorowie farmacyi.

— W Hong-Kong i Kantonie w Chinach grasuje cholera.

— W Pendżabie umiera na dżumę miesięcznie 70,000 osób.

Koleje i komunikacye. W ministeryum komunikacyi podniesiono sprawę zaprowadzenia biletów o 50% tańszych dla nauczycieli i nauczycielek szkół rządowych.

Zmarli. Dr. Jan Baliński, b. profesor wojskowej akademii lekarskiej i członek rady lekarskiej ministeryum spraw wewnętrznych, w Petersburgu, w 74 roku życia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. T. R. Zwykłe rymowanie zwykłych wrażeń.

P. Szalborskiemu. Nic zużytkujemy.

Wyszła jako osobna książka I-a część dzieła „Wiek XIX,“ p. t.:

Zagadnienia moralne:

A. Darlu: *Klasyfikacya współczesnych idei moralnych.* — P. L—e: *Rodowód idei sprawiedliwości i dobra.* — G. Belot: *Zbytek.* — H. Höffding: *Rodzina.*

Cena kop. 60, z przesyłką rekomend. 75 kop.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Марта 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.